№ 41. Warszawa, dnia 9 Października (27 Września) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Zanim osobny prospekt zapowie rozszerzenie wydawnictwa *Prawdy* w roku następnym, tymczasowo robimy znaczne z jej kosztów ustępstwo. Mianowicie, wielu nowych abonentów naszych wyraziło chęć posiadania poprzednich bezpłatnych dodatków *Prawdy* a niemożność nabycia ich po dotychczasowej cenie. Ulegając temu życzeniu, dla nowych (od 1 października) abonentów, *którzy co najmniej opłacą prenumeratę półroczną*, zniżamy cenę wszystkich dodatków *o połowę*, tak, że one kosztować będą:

Pypin: *Kwestya polska* (kilkanaście tylko egzemplarzy) kop. 50 (zam. rs. 1).
J. Brandes: *Główne prądy literatury XIX w.* rs. 3 (zamiast rs. 6).
Ekonomia polityczna rs. 1 kop. 50 (zam. rs. 3).
Liard: *Logika* kop. 50 (zamiast rs. 1).
Espinas: *Społeczeństwa zwierzęce* (zeszyt I) kop. 25 (zamiast 50).

Zniżenie zatem ogólne wynosi rs. 5 k. 75.

Uwaga. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla. Naturalnie, dla nieabonentów *Prawdy* cena owych dzieł pozostaje dawniejszą.

Na początku roku przyszłego wyjdzie nakładem naszym w tłomaczeniu polskiem epokowe dzieło amerykańskiego badacza Morgana (z objaśnieniami Marxa i Engelsa), którego olbrzymią wartość wykazywaliśmy szczegółowo w jednym z artykułów *Prawdy* — p. t.:

PIERWOTNE SPOŁECZEŃSTWO
czyli badanie postępu ludzkości od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.

Dzieło to, które dało nową podstawę badaniom naukowym, mające przeszło 40 arkuszy druku, w drodze prenumeraty kosztować będzie tylko rs. 3., z przesyłką rs. 3 k. 30. Po wyjściu książki cena jej zostanie znacznie podwyższoną.

Przy Administracyi *Prawdy*, która od tygodnia następnego mieścić się będzie w oficynie tegoż domu na pierwszem piętrze (wejście na prawo) urządzona będzie nasza

KSIĘGARNIA,

załatwiająca wszelkie zlecenia interesantów co do kupna i sprowadzania książek oraz prenumeraty pism. Abonenci *Prawdy* w Warszawie mogą przesyłać nam swoje żądania piśmiennie, a my im żądaną książkę odeślemy do domu, gdzie jej cenę zapłacą. Również z prowincyi przyjmujemy odpowiednie obstalunki.

POLITYKA.

VANA IRA...

W każdej ważniejszej sprawie politycznej dostrzedz można ten objaw, że z początku członkowie koncertu europejskiego grają unisono, potem z orkiestry wyrzynają się tłumione rozdźwięki, wreszcie cała symfonia przechodzi w hałaśliwą kocią muzykę, którą dyrektorzy usiłują sharmonizować kamertonami moralnymi. Gdy zawiedzie dyplomacya, a strzelających i siecących argumentów użyć nie można, występuje zwykle na ostatku, jako rozjemczyni—etyka. Ucisza ona chór „sfery interesów," szept i krzyk wszystkich gatunków samolubstwa i zaczyna bić w wielki dzwon bezstronności. Tak się obecnie stało z powikłaniem bułgarskiem. Jednocześnie uderzyło w ten dzwon dwu ministrów dwu państw potężnych — Austryi i Anglii — którzy po długiem błąkaniu się na wertepach egoizmu politycznego, doszli do wniosku, że jedynie słuszną, rozumną i zbawienną jest idea niepodległości drobnych narodów na półwyspie Bałkańskim. „Kiedy w r. 1868 po raz pierwszy miałem sposobność wypowiedzieć moje poglądy osobiste na sprawy wschodnie, byłem tego zdania, że, jeżeli na wschodzie muszą nastąpić zmiany, *nasze interesy* wymagałyby, ażeby mieszkające tam narody wytworzyły odpowiednie swym indywidualnościom państwa niezależne. Zgodnie z naszem ministeryum spraw zagranicznych sądzę, że to i dziś najlepiej się godzi z *interesami* naszej monarchii i że ona, zrzekając się wszelkich pragnień rozrostu i zdobyczy, dążenia swoje z natężeniem całego wpływu skierować musi ku poparciu samoistnego rozwoju owych państw i zarazem przeszkodzić przeciwnemu traktatom ustanowieniu protektoratu albo trwałego wpływu któregokolwiek z mocarstw obcych." Jeszcze w tych słowach powtarza się zwrotka o „naszych interesach," ale już przyczepiona do wątku idealnego, tak idealnego, że trzeba go sobie powtórzyć kilkakrotnie, ażeby wam uwierzyć. Bo niezapominajmy, że to oświadczył węgier, który czuje polityczną i rasową odrazę do Słowiańszczyzny, i że owe „państwa" na półwyspie Bałkańskim są i być mogą tylko słowiańskie. Sprawdza się tu uwaga La Rochefoucaulda, że egoizm mówi wszystkimi językami, bo nawet językiem bezinteresowności. Austrya istotnie zakreśliła najszersze granice swobodnemu rozwojowi drobnych ludów, jest ona dotąd najlepszą ich macochą, ale ich czułą matką nigdy nie była, i dotąd ulega wpływom swej niemieckiej krwi i swego węgierskiego małżeństwa. Jeżeli więc wyznaje, że pragnęłaby te ludy widzieć wolne i niepodległe, przekonała się o niemożności po-

łamania ich i przyklejenia do siebie sposobem Bośni i Hercegowiny, oraz, że dla jej „interesów“ dogodniejszem będzie w obecnej chwili zupełne wyzwolenie półwyspu Bałkańskiego, niż jego nowe poddaństwo.

Tej dyplomatycznej Marsyliance zaakompaniował natychmiast przedstawiciel drugiego rządu — lord Churchill. Sympatye Anglii dla wolności narodów — rzekł on — są *znane* z dziejów, stanowią one tradycyę polityki zewnętrznej. Europa zawdzięcza wiele swoich swobód usiłowaniom angielskim, które wyzwoliły (!) niegdyś Niemcy i Holandyę z pod despotyzmu Filipa II i Ludwika XIV. Lord Beaconsfield bronił (!) w r. 1878 młodej wolności ludów bałkańskich, które z pod deszczu nierządu tureckiego mogły się dostać pod rynnę innej wszechwładzy. Pomijamy groźby, zawieszone na wypadek, „gdyby“ nastąpiło to, czego sobie Anglia nie życzy, a co nastąpić może i nie przetnie nici papierowego miecza, zawieszonego uroczyście nad „mocarstwami, objawiającemi dążności natury zaczepnej;“ nieraz już bowiem John Bull wygrażał pięścią, którą wkrótce szybko chował do kieszeni pełną lub pustą. Zaznaczamy tylko znamienny objaw prądu, przenikającego mowy ministrów a brzmiącego wzniośle, zaznaczamy owo nawoływanie się i odkrzykiwanie gabinetu angielskiego z wiedeńskim, które świadczy, jak dalece położenie jest ciężkiem, kiedy dyplomaci chcą z niego wydobyć się zapomocą balonu etycznego.

Dla badacza jest to ważnem, ale dla ludów bałkańskich obojętnem, z jakiego źródła spłyną na nie dobrodziejstwa, aby tylko spłynęły. Ale czy owe „bezinteresowne“ mocarstwa, które dziś tak pięknie bronią szlachetnej idei, nie odmówią jej poparcia w czynach? Otóż nie wątpimy, że po za ofiarę ze słów nie wyjdą. To przekonanie dosyć powszechne tępi ostrość naprężonych stosunków a zarazem obdziera z uroku mowy ministeryalne, błyszczące światłami miłości bliźniego i rakietami humanizmu. Czyta się je z większem lub mniejszem zadowoleniem, a po przeczytaniu czuje się w myśli kwaśny osad tajemnej wiary, że wszystkie te frazesy wiatrem wydęte i tyle warte, co szczerość zapewnień o „serdecznych stosunkach“ międzypaństwowych i o bezpieczeństwie pokoju.

Jak rzekliśmy, nuty sentymentalne, mocno wybijane w elegiach ministrów, zdradzają ciągle trwającą grozę położenia. Rzeczywiście, chociaż dyplomacya gęstym płaszczem nocy okryła swoje roboty i walki, pilnie strzegąc, ażeby pod tę zasłonę nie zajrzały ciekawe oczy i nie wykradły tajemnicy dla ust i piór gadatliwych, niepokojące szelesty przedostają się do uszu opinii publicznej. Jest też ona ustawicznie zaniepokojoną, pełną przywidzeń i złych przeczuć, które zwalniają bieg życia, paraliżują jego ruchy, wywołują dreszcze i rujnujący zastój we wszystkich kierunkach. Można spierać się o to, czy Europa potrzebuje wielkich przewrotów dla Bułgaryi, Alzacyi, Francyi lub Niemiec, ale o tem chyba nikt nie wątpi, że potrzebuje jakiegoś przełomu dla uspokojenia się, dla wejścia w prawidłową kolej bezpiecznego rozwoju swych sił. Tymczasem od lat kilkunastu strach, niepewność jutra, gorączkowe dreszcze wzrastają codzień i wytwarzają stan ciągłej gorączki, który świat ubezwładnia, przeraża i trzyma w oczekiwaniu wielkiego nieszczęścia. Kapitał schował się do piwnic i jam, z których wyleźć i podjąć przedsiębiorstw nie chce, praca obsługuje w nędzy tylko najkonieczniejsze potrzeby, martwota zapanowała wszędzie. Zwyciężoną i rozbitą przez Niemcy Francyę obżałowywano bardzo, ale przeważnie z pobudek sympatyi nieświadomej; teraz dopiero widzą wszyscy, jak wielką klęską dla całego świata stał się jej upadek i wzrost Prus. Boć one to doprowadziły Europę do tego okropnego stanu, w którym ona dziś się znajduje. Wtedy żałowaliśmy bądź sławnej dynastyi, bądź wielkich strat sympatycznego narodu; dziś poznaliśmy, że pod Sedanem rozegrały się losy nietylko samej Francyi.

Czy Austrya i Anglia, których sojusz gazety wiążą i rozwiązują, czy te dwa państwa energicznym zamachem przetną to straszne pasmo niepewności? „Klucz położenia spoczywa w Berlinie“ — odpowiada na to pytanie prasa europejska, która jak sroka powtarza ten sam frazes przy każdem ważniejszem powikłaniu od lat wielu. Gdzie ów „klucz“ leży — niestety — wiemy i pamiętamy również, że trzymające go ręce pracują nad tem, ażeby go jak najdłużej posiadały, to jest, ażeby stosunki pozostały nieokreślone i natężone, ażeby potrzebowały „rozjemcy.“ Chociaż więc Anglia i Austrya przemówiły tonem stanowczym i pobrzękującym pałaszami, chociaż sprzeczności interesów i dążeń między mocarstwami przybrały charakter ostry, chociaż stan obecny trwałym być nie może, bo doprowadziłby do powszechnego bankructwa, sądzimy, że znów znajdzie się jakaś podpórka dla politycznej rudery a za kilka miesięcy dzienniki stwierdzą, że wszystko jest, jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło. Na ruderze tej pozostanie dotychczasowy napis: *vana ira...* próżny gniew.

DWOJAKIE PRĄDY POLITYCZNE.

Nauka oznajmia nas z potęgą maluczkich, z wpływem, jaki oni wywierają na ruch i na życie w przyrodzie. Napełniając i przenikając wszystko, co wielkie i pokaźne, snują niewidome pracę, dzięki której następują przeobrażenia. Odkrycie pierwiastków anatomicznych pozwoliło na pracę ich spojrzeć. Widzimy ją pod mikroskopem i z pewnością nie widzimy w całości, domyślając się, że po za tymi maluczkimi są maluczcy mniejsi i jeszcze mniejsi, a potężni. Nie posiadamy mikroskopu tak silnego, ażebyśmy oglądać mogli tę monadę organiczną, która przeobrażeniom wszelkim początek daje.

Potęga maluczkich jest wielką. Uczeni ją uznają w przyrodzie — istnieje w działalności sił natury i nie masz dobrej racyi, ażeby nie istniała i w działalności politycznej. Filozofowie niemieccy dostrzegli ją na polu tem w walce o byt — jest to właśnie pole, na którem ona działa. Walka o byt polityczny odbywa się pod dwojaką postacią: głośno, przy biciu w trąby, w bębny, w dzwony dyplomatyczno-gazeciar-

---

1)

BITWA POD WATERLOO

przez

Aleksandra Kiellanda.

I.

Ponieważ zakochanie się nietylko jest zajmującem samo przez się, lecz nawet licuje z dobrym tonem i zwyczajem; ponieważ nadto przy naszych niewinnych i moralnych stosunkach oddać się można spokojnie temu miłemu zawodowi, wiedząc, że nie przeszkodzi nam ani czujny ojciec, ani kłótliwy braciszek; ponieważ wreszcie łatwo można wpaść jak i wyjść z osobliwego stanu, zwanego powszechnie „zaręczynami“ (rzecz pośrednia między małżeństwem a „wiktem w porządnym domu“): przeto — tak, przeto — nie było wcale dziwnem, iż kuzynek Jaś czuł się serdecznie nieszczęśliwym. Nie był bowiem ani trochę zakochany.

Długo się starał o to i długo bardzo wyczekiwał chwili, kiedy miłość miała spaść na niego jak piorun, bo podług zdania wszystkich znawców jest to właściwa forma właściwej miłości. Ale ponieważ cały rok był już studentem i nic podobnego nie odczuwał, więc pewnego dnia powiedział sobie: miłość jest tylko loteryą, chcąc wygrać, potrzeba grać. Trzeba podać rękę szczęściu! — tak, jak to mówią w ogłoszeniach.

Rozejrzał się więc dobrze wokoło—i pilnie śledził swoje serce.

Jak rybak, okręciwszy sznurek wędki na wskazującym palcu, wyczekuje najlżejszego poruszenia, tak Jaś wstrzymywał oddech, ile razy spotykał młodą kobietę, śledząc, czy przypadkiem nie uczuje natychmiast tego dziwnego wstrząśnienia, które — jak wiadomo — należy do objawów prawdziwej miłości, tego wstrząśnienia, przy którem nagle wszystka krew do serca przypływa, aby znowu jaknajprędzej do głowy uderzyć a jednocześnie wywołać rumieniec.

Ale na nieszczęście nie udawało mu się. Włosy jego pozostały czerwone aż do korzenia, bo włosów kuzynka Jasia w żaden sposób nie można było nazwać bronzowemi; a twarz została równie blada i ściągła jak przedtem.

Biedny rybak był już zmęczony, kiedy pewnego dnia przechadzał się blizko fortecy. Usiadłszy na ławce, zaczął obserwować kilku żołnierzy, zajętych nużącą mustrą, stojących w największem słońcu na jednej nodze i odwracających się ciałem, aby je ze wszystkich stron ogrzać.

— Głupstwo! — zawołał kuzynek Jaś— ależ to dla naszego małego kraju za drogi żart utrzymywać takich akrobatów. Wszak niedawno czytałem, że tak zwana armia zużywa 1,500 blaszanych puszek szuwaksu, 600 szczotek do czyszczenia, 3,000 łokci złotego galonu i 8,640 metalowych guzików!.. Byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy zaprowadzili oszczędności w złotych pasmanteryach i guzikach, a pieniądze przeznaczyli na oświatę naszego ludu — mówił ciągle do siebie kuzynek Jaś.

Bo i on już był zarażony nowemi ideami, które niestety i do nas znalazły przystęp i niewątpliwie zakończą się upadkiem istniejącego porządku rzeczy.

— Żegnam cię więc, do widzenia! — zawołał głos kobiecy tuż za nim.

skie, przy huku dział niekiedy i — z drugiej strony — tak cicho, że na nią uwagi nie zwraca żaden z szanujących powagę własną organów publicystycznych. O objawach jej organy te zaledwie wzmiankować raczą. Czy zajmują się one, naprzykład, usiłowaniami ugruntowania pokoju na drodze działalności zakulisowej, za pomocą porozumiewania się międzynarodowego? Wzmiankują, ale od niechcenia, o kongresach różnorodnych, niemających nic urzędowego w sobie i zbliżających pomiędzy sobą ludzi narodowości rozlicznych, nieuznawanych nawet. Wszystkie niemal kongresy te mają pracę jakąś na celu, a praca każda pokoju się domaga. Pokoju, pokoju!..

W górze, w sferze wielkich, huczą zapowiedzi wojny; w sferze maluczkich o pokoju prawią i — nie zawsze prawią na wiatr; udaje im się bowiem niekiedy i wielkich na pole swoje zwabić. We względzie tym osławiać się już poczyna, zaliczana do mocarstw — którego? — chyba dziesiątego rzędu, w areopagach dyplomatycznych zgoła nieuwzględniana, w sprawach politycznych niemająca głosu najmniejszego — Szwajcarya. Maluczką jest ona w całem wyrazu tego znaczeniu; dzięki atoli tej maluczkiej, przeprowadzają się różne *unie* międzynarodowe, przeciwdziałające pośrednio dążnościom kłótliwością polityczną nacechowanym. Wielcy się kłócą, odgrażają, hałas ogłuszający czynią; ona ściąga, kojarzy, wytwarza związek po związku, raz pocztowy, znów telegraficzny, dalej przemysłowy, literacko-artystyczny. Przypatrzywszy się działalności tej i zastanowiwszy się nad nią, widzimy następstwa jej moralne i materyalne. Nie mówmy o moralnych, ale o tych tylko, co w chwili obecnej dadzą się już na brzęczącą obliczyć monetę. Co sprawiła np. unia pocztowa? Biorę miarę z siebie samego. Od czasu, jak za list, zamiast po franku, po półtora i wyżej franka, płacę nie więcej, niż po centymów 25, oszczędność, jaka stąd dla mnie wynika, wynosi rocznie mniej więcej franków sto. Ileż wyniesie oszczędność ogólna? Nie wymieniam cyfry w przybliżeniu nawet: nie sądzę jednak, ażebym się omylił, gdy powiem, że się oblicza ona na miliony. Oszczędność wszakże nie stanowi jedynego unii pocztowej dobrodziejstwa. Łączy się z nią jeszcze i ułatwienie stosunków, ważne pod każdym względem, moralnego nie wyjmując. I kto to sprawił? — maluczki. Podczas kiedy olbrzymy, srożąc się jeden na drugiego, doprowadzili rzeczy do pokoju zbrojnego, do stanu natężenia, utrzymującego społeczeństwa w ustawicznej o jutro obawie; podczas kiedy samo stanu tego podtrzymywanie pociąga za sobą szalone, rujnujące ludzi pojedynczych i państwa wydatki; podczas kiedy mocarstwa wielkie prowadzą czynność destrukcyjną: maluczki oszczędność cichaczem podsuwa, ułatwienie stosunków spowodowuje i pod budowlę inną od tych, jakie wielcy lepią, grunt przysposabia. Przysposabianie gruntu tego rodzaju odbywa się w kierunkach wszystkich, w które jeno wielkich zwabić można. Szwajcarya podsłuchuje nurtujące w społeczeństwach europejskich prądy i stara się je w klamry prawomocne ujmować. Starania te raz wieńczy, znów nie wieńczy skutek pomyślny. W sprawie pocztowej powiodło się jej; powiodło się jej w sprawie telegraficznej, przemysłowej, czerwonego krzyża i literacko-artystycznej; nie powiodło się w podsuniętej przez ligi i stowarzyszenia pokojowe sprawie założenia trybunału międzynarodowego, mającego za zadanie rozsądzanie sporów międzypaństwowych. Na taki nawet, jak wybierane przez strony za każdym wypadkiem sądy polubowne, uznawać środek mocarstwa zgodzić się nie chciały. Wprawdzie Niemcy i Hiszpania do środka tego uciekły się w sprawie wysp Karolińskich; nie przyjęły go atoli za regułę stałą. Na kołatanie Szwajcaryi głuchemi się nie okazały same jeno Stany Zjednoczone; nie mogły one wszelako sekundować jej w Europie, gdzie jedno tylko mocarstwo, a mianowicie Anglia, objawia skłonności szczerze pokojowe i, ze względu na interesy własne, chętniéby rękę do zażegnania huczących w sferach dyplomatycznych burz przyłożyła. I na nią maluczcy wpływ wywierają.

Dziwnym jest, zaiste, ten wpływ!

Na gołe słowo nikt by mi wiary nie dał, gdybym powiedział, że oddziaływa on i na Niemcy,

A tak jest przecie. Przytoczę na dowód sprawę, przez opozycye skandynawskie poruszoną, której szanse uważano dotychczas za tak słabe, że — „szanująca się” publicystyka zajmować się nią nie raczyła. Sprawą tą jest zneutralizowanie państw skandynawskich na wzór i podobieństwo tego, jak zneutralizowanemi zostały Belgia i Szwajcarya. Myśl ta, spopularyzowana szczególnie w Danii, przyjęta gorąco w Norwegii i nie obca w Szwecyi, na zewnątrz krajów tych znajdowała jeno poparcie w nacechowanej radykalizmem politycznym Lidze pokoju i wolności. Sfery urzędowe słyszeć o niej nie chciały. Naraz, w czasach ostatnich, na domagania się o zneutralizowanie wchodzących w obręb skandynawskiego świata półwyspów, wysep i cieśnin, otworzyły się uszy niemieckie — i to uszy takie, jak księcia kanclerza. Nastąpiło to, rzecz prosta, na drodze interesu. Interes przedstawia się w sposób następujący:

Znanym jest zamiar połączenia morza Baltyckiego z Niemieckiem za pomocą kanału, przekopanego pomiędzy Kiel, portem wojennym, a ujściem Ejdery, które, należycie ufortyfikowane, zapewniłoby flocie niemieckiej swobodny na dwa morza wylot. Chodzi tu o drogę wodną, rokującą ogromne — w wojnie zwłaszcza z Francyą — korzyści, pod warunkiem atoli, ażeby była jaknajzupełniej przeciwko napaściom wszelkim z góry zabezpieczoną. Owóż warunek ów dopełnionym być może, przy stanie rzeczy istniejącym, w trzech czwartych jeno częściach. Przystępu do kanału od wschodu broni Kiel; od zachodu bronić będą fortyfikacye, które wznieść potrzeba; od południa przylega on do Niemiec; pozostaje strona północna, wystawiona na łaskę i niełaskę Danii. W razie wojny, czy to z Francyą, czy też z Rosyą, rzeczą jest bardziej aniżeli wątpliwą, ażeby Dania w obronie Niemiec stanęła: gdyby zaś i stanęła — czyby bronić zdołała? Wątpliwość tę na korzyć Niemiec rozstrzygnąć by mogła sama jeno neutralność Danii, neutralność, niemająca doniosłości politycznej bez zneutralizowania zarazem spółpanujących nad cieśninami Szwecyi i Norwegii.

Do niedawna zamiar zneutralizowania państw skandynawskich, powzięty przez stronnictwo opozycyjne w Danii, to jest przez maluczkich śród maluczkich, uchodził za czystą utopię i liczyć nie mógł nie tylko na poparcie, ale na mniej więcej łaskawe ze strony któregobądź mocarstwa uwzględnienie. Z gabinetów żaden ani słyszeć o nim chciał. Na zewnątrz nosiła się tam z nim jakaś Liga, której głos bez echa nietylko w gabinetach, ale nawet w sferach publicystycznych ginął; wewnątrz zaś z zamiarem owym porało się stronnictwo, mające się do wielkich w państwach europejskich stronnictw, jak mucha do lwa i traktowane przez ramię w kraju własnym. Zabiegi, jakie ono czyniło, wzbudzałyby politowanie chyba, gdyby o nich wiedzieć chciano. Ale nie wiedziano. Mimo to, maluczkość nieuznawana zamiaru powziętego popierać nie przestawała, kołacząc wszelkimi sposobami i wewnątrz i na zewnątrz do opinii publicznej.

Ciekawymi są sposoby, za pomocą których do opinii publicznej kołatanie się od-

---

— Bywaj zdrowa! — moje dziecko! — odpowiedział głęboki głos męski.

Kuzynek Jaś odwrócił się powoli, bo był to dzień bardzo gorący. Spostrzegł starego wojskowego w czarnym, po szyję zapiętym surducie, z orderem przy szabli na lewym boku; nosił czarną chustkę, skręconą niezliczoną ilość razy naokoło szyi, gładko i czysto wyczyszczony kapelusz i jasne spodnie. Jegomość ów, skłoniwszy się młodej kobiecie, idącej do miasta, sam szedł dalej brzegiem wału.

Kuzynek Jaś był z pewnością już zmęczony, ale pomimo to śledził oczami oddalającą się młodą dziewczynę. Była mała i zgrabna; z zajęciem zauważył, że należała do niewielkiej liczby kobiet, mających chód lekki i powiewny.

Ten sposób chodzenia miał już w oczach jego wielką zaletę, bo kuzynek Jaś był z tych subtelnych i bystrych ludzi, którzy już po sposobie chodzenia umieją ocenić kobietę.

Uszedłszy kilka kroków, odwróciła się— zapewne chciała jeszcze ukłonić się staremu oficerowi; ale najniespodziewaniej w świecie spotkała wzrok kuzynka Jasia.

I on wreszcie doczekał się tej upragnionej chwili: „chwyciła!“ Krew mu się zaczęła burzyć tak, jak należało w obecnej chwili, oddech zwolniał, głowa paliła się, uczuł zimne dreszcze, ręce miał wilgotne, słowem, wszystkie te objawy dowodziły, sądząc ze zdania poetów i doświadczonych prozaików, że to była prawdziwa i właściwa miłość.

Nie było czasu do stracenia. Złapał czemprędzej czapkę studencką, laskę i rękawiczki, leżące obok niego na ławce, i pospieszył za swą damą przez fortecę ku miastu.

W wielkiem, zepsutem społeczeństwie za granicą podobne rzeczy nie uchodzą. Stosunki są tam tak nieczyste, że dobrze wychowany młodzieniec wystrzega się iść za kobietą. Te zaś w niewielkiej liczbie dobrze wychowane kobiety, które się tam znajdują, nie zezwoliłyby nigdy na to, aby ktoś szedł za niemi.

Ale w naszem czystem, moralnem społeczeństwie jesteśmy tak szczęśliwi, że możemy młodzieży dać więcej swobody — właśnie w dziedzinie surowych obyczajów.

Dlatego też kuzynek Jaś ani myślał sprzeciwiać się głosowi serca; młoda zaś osoba, zauważywszy natychmiast, jakie nieszczęście wywołało jej spojrzenie, przeznaczone dla starego oficera, nie doznała wszakże w owej chwili tak przykrego uczucia.

Przechodnie na ulicy naturalnie natychmiast to spostrzegli (jest to mianowicie jednem z tych niewielu wypadków, w których zainteresowanym osobom wydaje się, że są bez świadków) — i uważali za bardzo zabawne zdarzenie. Odwracali się, ukrywając uśmiechy, bo doskonale wiedzieli wszyscy, że owa pogoń, albo do niczego nie doprowadzi, a wtedy byłaby najniewinniejszą rozrywką dla młodych osób, albo też powiedzie do zaręczyn — a cóż może być piękniejszego na świecie nad zaręczyny!

Podczas gdy postępowali naprzód, zawsze jednak w przyzwoitej odległości, raz na tym samym trotuarze, lub znowu tak, że szerokość ulicy ich przedzielała, kuzynek Jaś miał dość czasu, aby sprawę rozważyć.

Co się tyczy zakochania, to wszystko było w porządku. Objawy jego wystąpiły. Wiedział, że dał się złapać, że wpadł w sidła prawdziwej, rzeczywistej miłości — a uczucie to czyniło go szczęśliwym. Kuzynek Jaś był też niewypowiedzianie szczę-

bywa. Służą ku temu przedewszystkiem dzienniki — pisemka, których wydawanie nie zwraca kosztów druku. Na podtrzymanie ich zwołują się metingi i dają odczyty bezpłatnie. Bezpłatność jest warunkiem zapełnienia sali. Gdyby opłatę naznaczono, zeszłoby się osób kilkanaście, kilka może i cel by został chybiony. Schodzą się więc daremnie, sala się zapełnia po brzegi. Prelegent, w razie odczytu, biuro, gdy się odbywa meting, dokłada usilności całej dla zainteresowania przedmiotem publiczności, która wychodząc, znajduje broszurkę lub świstek drukowany, streszczający rzecz w sali traktowaną i sprzedawany po cenie jaknajniższej. Dochód ze sprzedaży tej idzie na opłacenie sali i na podtrzymywanie pisemka; że jest jednak szczupły, wynosi bowiem zazwyczaj kilka, najwyżej kilkanaście kron (krona 75 kop.), potrzeba przeto mnożyć odczyty i metingi, ażeby zgromadzić fundusze wystarczające. Sama potrzeba ta jest potężnym w kołataniu do opinii publicznej czynnikiem, dzięki jej bowiem agitacya utrzymuje się w natężeniu ustawicznem. Metingi i odczyty następują jedne po drugich w Kopenhadze, po większych i mniejszych miastach, po wsiach nawet. Po wsiach zgromadzenia zwołują się do szop, lub pod niebem otwartem. W sposób ten zamiar, obiegając kraj cały, pogłębia się, potężnieje i podąża ku temu, że z czasem uzyska w parlamencie większość i stanie się urzędowym.

Tak się wyraża działalność wewnętrzna, w granicach Danii zamknięta. Duńczycy nie poprzestają na niej. Rozumiejąc potrzebę popierania opinii publicznej krajowej opinią publiczną zagraniczną, nie ograniczają się na obsyłaniu dziennikarstwa zagranicznego notami i korespondencyami, ale wyprawiają posłów do Anglii, do Francyi, do Niemiec i do ogniskowego działalności pokojowej punktu — do Szwajcaryi. Na wyprawianie posłów potrzebne są fundusze. Zaradza się i temu.

Okoliczności sprowadziły mnie i zbliżyły z duńskim tego rodzaju posłem, p. Fryderykiem Bajerem, naczelnikiem lewicy w parlamencie, człowiekiem rozumnym, prawym i szeroko w Skandynawii znanym, ale ubogim. Spotkałem się z nim w Genewie, dokąd przybył dla wzięcia udziału w kongresie Ligi pokoju i wolności. Pieniądze na wyprawienie go zebrano sposobem składkowym — składano się po groszu. Z groszowych składek powstał fundusz, dzięki któremu poseł duński udał się najprzód do Londynu, z Londynu pojechał do Genewy, z Genewy do Berlina. W Londynie sprawę neutralizacyi państw skandynawskich powierzył „Stowarzyszeniu sądów polubownych i pokoju" (*Arbitration and peace association*), pozostającemu pod przewodnictwem wielkiej zacności i bezgranicznego poświęcenia człowieka, p. Hodgson Pratt. O celu pobytu jego w Genewie wspomniałem powyżej. Do Berlina udał się do Virchowa, który stoi na czele pozawiązywanych w Niemczech, dzięki zabiegom Hodson Pratta, stowarzyszeń pokojowych, usiłujących okiełznać rozwinięty do zbytku, wskutek tryumfów wojennych, szowinizm pruski. Za pośrednictwem tych ostatnich, myśl korzyści, jakaby dla Niemiec — przez kanał ejderski — wynikła ze zneutralizowania państw skandynawskich, przedarła się do wiadomości ks. Bismarka i uzyskała jego uwzględnienie. Nie idzie za tem, ażeby myśl ta urzeczywistnioną niezwłocznie zostać miała. Dość, że się — tak powiem — gruntu dyplomatycznego chwyciła. Uzyskawszy uznanie tak wysokie, uzyskała przez to samo na wewnątrz i na zewnątrz poparcie silne; sam zaś fakt uznania tego daje świadectwo doniosłości, jaką posiada działalność maluczkich, gdy, przeciwnościami i trudnościami nie zrażając się, rąk nie opuszczają.

Po za tymi, co nas olśniewają okazami potęgi i wielkości, po za tymi, co nas ogłuszają hałasami popisów wojennych i odgrażań się dyplomatycznych, odbywa się praca wielce podobna do tej, jaką uczeni przy pomocy mikroskopów w naturze dopatrzyli — praca walki o byt, walki — której bynajmniej nie chodzi ani o to, czy Niemcy wezmą za łeb Francyę, czy Francya Niemcy, ani o wytępienie polaków, ani o nic podobnego, ale o rzecz bez porównania ważniejszą: o ułatwienie człowiekowi utrudnionego ogromnie bytu — o walkę z siłami przyrody. Wobec tej ostatniej polacy, niemcy, duńczycy, etc. jednakowe mają do rozwiązania zadanie; tych zadań, które różni wielcy i pomniejsi Bismarkowie z hałasem ogromnym na stół wytaczają, historya — czy też nie nazwie kiedy: wielkiem głupstwem? Pano wie ci dmą w fujary wielkiej i małej a uepitetowanej rozmaicie polityki, kiedy się narzuca polityka bardzo wielka, wymagająca spólnego a zgodnego ludzkości całej działania: polityka chlebowa.

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przebieg sprawy bułgarskiej przybiera znowu charakter bardziej ostry. Regencya wprawdzie okazuje wciąż usposobienie pojednawcze, ale na wszystkie żądania generała Kaulbarsa, wyrażone w 12 punktach, dała albo odmowną, albo wymijającą odpowiedź. Deputacya ministrów oświadczyła tylko, że ponownego wyboru ks. Aleksandra rząd tymczasowy popierać nie będzie, co właściwie żadnem ustępstwem nie jest, kiedy Rosya posiada prawo zatwierdzenia wyborów. Ani o odroczeniu zgromadzenia narodowego, ani o uwolnieniu więzionych spiskowców rząd bułgarski słyszeć nie chce i uporczywie broni swego stanowiska, chociaż czyni to w formie bardzo łagodnej, powołując się wciąż to na przepisy konstytucyi, to na wymagania karności wojskowej lub życzenia ludu. Jednocześnie między bułgarami wzmaga się wzburzenie umysłów, jak o tem świadczy przebieg wiecu ludowego, zwołanego w Sofii w d. 3 września. Na zebraniu tem namiętnie przemawiał deputowany Wulczew, powtarzając kilkakrotnie: „nikt nie powinien mieszać się do naszych spraw," za co otrzymywał huczne oklaski. Jakiegoś poddanego rosyjskiego, który krzyknął: „precz z Bułgaryą!" — zbito i pokaleczono. Ten sam los spotkał również kilku cankowistów. W chwili największego zamieszania przybył na plan gen. Kaulbars. Tłum powitał go przyjaźnie, wtedy generał wszedł na estradę i przemówił do ludu, tłomacząc żądania Rosyi. Kiedy jednak powiedział, że wybory do zgromadzenia mają być odroczone na 2 lub 3 miesiące, przerwano mu mowę oznakami niechęci. To samo powtórzyło się, kiedy oświadczył, że Cesarz życzy sobie uwolnienia oficerów; lud zaczął wołać: „nie, nie, niech będą ukarani." Widząc taki upór, generał dodał tylko: „odpowiedzialność spadnie na tych, którzy was popychają na tę drogę," poczem odjechał, a na drugi dzień opuścił Sofię, udając się na objazd prowincyi. W ciągu dwóch tygodni pełnomocnik rosyjski zamierza zwiedzić większe miasta, w czasie podróży zbierać będzie wybitniejszych przedstawicieli ludności i tłomaczyć im żądania Rosyi. Zapewne regencya liczy, że ludność ta wszędzie okaże to same usposobienie, co mieszkańcy Sofii. Rachuba ta może okazać się zawodną, bo oto dowódcy trzech pułków, stojących w Szumli i okolicach tego miasta, wysłali do rządu odezwę, ażeby uległ Rosyi, w przeciwnym bowiem razie pp.

śliwym. Dawniej nie można się było do niego zbliżyć, a dziś niejeden przechodzeń mógł się nawet narazić na potknięcie go bez żadnych nieprzyjemnych następstw. Biegł w największym pośpiechu przez ożywione ulice, wpatrując się ciągle w jeden tylko punkt.

Tak, była to miłość — to jasne, i nikt nie mógł o tem powątpiewać. Jaś starał się wyobrazić sobie ziemskie rozkosze zakochanego, co nie było nawet zbyt trudnem. Ona wyszła za swoim starym ojcem na spacer, nagle zauważyła, że jest już po dwunastej i spiesząc do domu, zawołała: „do widzenia, żegnam cię," aby dojrzeć obiadu. Bo musiała być dobrą gospodynią; ta milutka istota pewno matki nie miała.

To ostatnie przypuszczenie było prawdopodobnie wywołane obawą, jaką mają wszyscy przed teściową, sądząc z opisów dobrych autorów — ale przez to strach jego nie zmiejszał się. A teraz kuzynek Jaś potrzebował jeszcze dowiedzieć się: po pierwsze — gdzie ona mieszka; po drugie — kto ona jest, a po trzecie — jakim sposobem można się z nią zaznajomić.

Gdzie mieszkała — o tem łatwo mógł się zaraz przekonać, bo szła do do domu. Kto jest — o tem mógł się dowiedzieć w podwórzu; a co do zabrania z nią znajomości — ach mój Boże! trochę przeszkód należy zwykle zwalczyć przy prawdziwej miłości!

Ale w chwili, kiedy polowanie odbywało się najweselej, zwierz znikł w jednej z bram — właściwie była już pora ku temu, gdyż myśliwy czuł się trochę znudzonym.

Z pewnym spokojem przeczytał numer domu: 34; uszedł jeszcze kilka kroków dalej, aby niepożądanego obserwatora w błąd wprowadzić, i oparł się o latarnię gazową, aby odetchnąć.

Jak wyżej wspomniałem, był to dzień gorący, który w połączeniu z namiętnością zakochanego spowodował, że kuzynek Jaś cały spotniał. Wreszcie i ubranie jego było trochę w nieporządku, skutkiem nieostrożnego pośpiechu w polowaniu.

Sam z siebie śmiać się musiał, ocierając twarz i szyję i chłodząc się — poprawił krawat, wyprostował stojący kołnierzyk, zgnieciony w upale. Ale uśmiechał się rozkosznie. Był w tem usposobieniu, kiedy o zewnętrznym świecie nic nie wiemy, kiedy nic nie widzimy i nie słyszymy — a półgłosem mówił do siebie:

— Miłość znosi wszystko, wszystko!

— A przedewszystkiem bardzo się poci — zauważył mały, otyły człowiek, którego biała kamizelka zwróciła uwagę Jasia.

— Ach! to ty, wujaszku! — zawołał trochę zawstydzony.

— Jak widzisz — odpowiedział wuj Fryderyk; przeszedłem na stronę słoneczną ulicy, tylko dlatego, aby cię wyratować od porażenia słonecznego. Chodź ze mną!

To mówiąc, chciał zaciągnąć z sobą kuzynka, ale ten, opierając się, zapytał:

— Wujaszku, czy nie wiesz, kto mieszka pod numerem 34?

— Nie, nie wiem. Ale, Boże mój, przejdźmy już na ocienioną stronę ulicy — mówił wuj Fryderyk.

Dwu rzeczy znieść nie mógł: gorąca i śmiechu; gorąca dlatego, że był zbyt otyty — a śmiechu dlatego, bo znał dobrze swoje usposobienie apoplektyczne.

(D. c. n.).

pułkownicy pozostawiają sobie zupełną swobodę działania. Jest to dowód wielkiego rozprzężenia karności wojskowej, ale nabiera on jeszcze szczególnego znaczenia z tego względu, że armia była właśnie dotyczas najsilniejszą podporą regencyi.

Odwiedziny książąt angielskich u sułtana nie doprowadziły, jak się zdaje, do żadnego rezultatu, korzystnego dla polityki angielskiej, owszem Turcya przechyla się coraz więcej na stronę Rosyi. Istnieje nawet projekt, ażeby do czasu uspokojenia się umysłów w Bułgaryi, rządy tego kraju powierzone zostały komisarzom nadzwyczajnym rosyjskiemu i tureckiemu, którzy działali by za wspólną zgodą.

Naczelnicy spisku republikańskiego w Hiszpanii skazani zostali na śmierć, ale zaraz potem ułaskawieni przez królowę. Śledztwo wykazało, że zamach madrycki był tylko jednem ogniwem rewolucyi, przygotowanej przez republikanów skrajnych, która nie udała się z powodu rozterek przywódców. Ruchem tym kierował znany spiskowiec Zorilla, mieszkający we Francyi.

Posiedzenia austryackiej Rady państwa już się rozpoczęły, głównem zadaniem rządu jest doprowadzenie do skutku nowej ugody z Węgrami; obie strony targują się o ustępstwa, w głównych jednak punktach przyszły już podobno do zgody, tak, że stanowisko Taaffego uważać można za utrwalone, o co głównie chodziło, nie zaś o zadowolenie życzeń różnych narodowości, i słusznych ich wymagań. Czesi tylko stawią jeszcze pewne żądania, które rząd chociaż w części zadowolnić będzie zmuszony.

Francuska Izba deputowanych zbiera się również 16 b. m., tymczasem p. Freycinet objeżdża kraj i wzywa republikanów do jedności w interesie... utrzymania gabinetu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z FRANCYI.

Paryż, 25 września.

Dwa doroczne kongresy Ligi pokoju i międzynarodowego Stowarzyszenia literacko-artystycznego i Konwencya berneńska, dotycząca własności literackiej.

Kilka słów o dwu stowarzyszeniach, które wprawdzie działalności swej nie ograniczają do Francyi wyłącznie, przyjąwszy charakter powszechny, na gruncie jednak francuskim wyrosły i tu czerpią główne swe soki. Soki te nie są zbyt obfite.

Mam tu na myśli Ligę pokoju i międzynarodowe Stowarzyszenie literacko-artystyczne. W ciągu właśnie bieżącego miesiąca w Genewie odbyły się doroczne kongresy obu instytucyj.

Liga pokoju miała chwile świetności i szerokiego rozgłosu. Pierwszy jej kongres pod przewodnictwem Garibaldiego w genewskim „Pałacu wyborów“ zgromadził kilka tysięcy osób z różnych krańców świata. Dyplomacyę europejską zaprzątała wówczas tak zwana kwestya luksemburska; w powietrzu wisiała już wojna, która w kilka lat później wybuchła. Gdy jednak w Niemczech ostrzono już bagnety, Francya oddawała się marzeniom o pokoju powszechnym, zgodnej federacyi wszech ludów, zniesieniu armij stałych... Pragnienia te znalazły swój wyraz w podstawowych zasadach, uchwalonych przez Ligę. Śród tego powszechnego pokoju, w sposób również pokojowy — stowarzyszenie bowiem odrzucało wszelkie środki nieprawne i gwałtowne — miały być załatwiane stopniowo sprawy, obejmujące różne strony życia zbiorowego. Liga ogłosiła jaknajpełniejszy samorząd jednostek i społeczeństw, oddzielenia kościoła od państwa, przekształcenia socyalne, przygotowane przez oświatę obowiązkową, powszechną i bezpłatną, zabezpieczone wolnością układów, stowarzyszeń i zmów, reformy oparte na własności osobistej, „czerpiącej swe źródło w pracy rolnej bez wyzyskiwania.“ Przyznano równość obu płci, starano się złagodzić los więźniów, występowano przeciwko karze śmierci. Gdyby zaś jakie zatargi zagrozić miały spokojowi jednostek i grup całych, doradzano dla załagodzenia ich i rozstrzygnięcia komitety i sądy rozjemcze, aż do międzynarodowego trybunału, który godzić miał zwaśnione narody!

Było zapewne wiele naiwności w tych pobożnych życzeniach, za niedorzeczne wszakże mrzonki uważać ich nie można. Odpowiadały one życzeniom bardzo wielu i żłobiły sobie powoli coraz szersze uznanie. Pruska jednak era krwi i żelaza, która miała ukazać się niebawem w całym blasku, zwarzyła wkrótce swym chłodem te zawczesne pierwiosnki. Okazało się również, że i w stosunkach wewnętrznych rozwój toczyć się nie może po gładkiej równi pochyłej.

Mimo te zasady i rozczarowania, Liga odbywała wciąż swe kongresy. Traciła jednak wierzących; tłumne z początku zebrania gromadziły coraz mniejszą garstkę upartych, niedających za wygranę, a ogół coraz mniej interesował się uchwałami, zapadającemi w pustej sali. Kongresy jednak odbywały się regularnie co roku w różnych miastach Szwajcaryi. Trzeciemu z kolei, w Lozannie, przewodniczył Wiktor Hugo. Ostatni, dziewiętnasty z rzędu, odbył się właśnie, jak nadmieniliśmy, w Genewie. Na corocznych tych zjazdach rozbierano zagadnienia bieżące. Zaznaczyć wypada, że związek nie domagał się przedewszystkiem pokoju za wszelką cenę, lecz podporządkowywał go szerszym sprawom etyczno-politycznym. Było to powodem wielu sprzeczności, szamoczących się w łonie Ligi od samego jej zawiązania. Zagadnienia owe i interesy wyższego rządu zasłaniały często sprawę pokoju, chociaż apostołowanie go było naczelnym obowiązkiem towarzystwa. Na kongresie 1869 r. Liga roztrząsa szeroko federacyę europejską, zajmuje się sprawą wschodnią. Następny zjazd w Bazylei był tylko głośnym protestem przeciwko wojnie, która srożyła się na ziemi francuskiej; kongres 1871 r. zebrał się w siedem miesięcy po wojnie, a w pięć po zwycięzeniu komuny. Protestowano na nim przeciwko zaborowi Alzacyi, wydając orzeczenia zasadnicze w tym przedmiocie. Uchwalono także, że należy co rychlej przeprowadzić reformy społeczne, któreby zapewniły pracy „udział w posiadaniu jednostkowem i zbiorowem.“ W podobny sposób wyrokowano corocznie. Na kongresie ostatnim poradzono trzem państwom bałkańskim Bułgaryi, Serbii i Rumunii zawarcie zaczepno-odpornego przymierza, któreby mogło być dla Półwyspu tem, czem było sprzysiężenie Grütli i związek trzech kantonów dla Szwajcaryi. Na nieszczęście historyczne podobieństwa są tylko podobieństwami. Orzeczono również, że zneutralizowanie Bosforu i Konstantynopola byłoby dziś przedwczesnem, równie jak i utworzenie stałego trybunału międzynarodowego dla rozstrzygania spraw spornych. Znów więc wyparto się pokoju... Projekt owego trybunału podniosło parę miesięcy wcześniej amerykańskie *Peace Society*, a jednocześnie z myślą tą wystąpił jeden z apostołów tej instytucyi, p. Leon Levi i komitet paryski Ligi pokoju. Bądź co bądź, przyznać należy, iż mimo całej marzycielskości, a często nawet reakcyjności jej zamiarów, na dnie ich leży myśl słuszna i dążenie samo, śród szczęku broni i jeżących się wokoło uzbrojeń, żłobi sobie coraz głębsze i szersze koryto w świadomości ludów obu półkul. Żadna idea nie wyłania się gotową, jak Minerwa z głowy Jowisza, lecz wyrabia sobie powoli zwolenników i uznanie. Nie nadaremnie więc pracują i niezmordowani szermierze pokoju*).

Nadmienić jeszcze wypada, że wzmiankowana liga pokoju nie jest jedyną w swoim rodzaju. Na stałym lądzie europejskim: we Francyi, we Włoszech, w państwach skandynawskich, równie jak w Anglii i Ameryce, wiele stowarzyszeń i związków prowadzi w tym kierunku niebezskuteczną całkiem działalność.

W kilka dni po kongresie Ligi pokoju rozpoczął w Genewie swe obrady dziewiąty zjazd międzynarodowego Stowarzyszenia literacko-artystycznego. Posiedzenia odbywały się w gościnnej auli uniwersyteckiej, nie zgromadziły jednak zbyt wielkiej liczby uczestników i publiczność miejscowa zrzadka tylko odwiedzała sejmikujących literatów. W Bernie szwajcarskim dnia 9 września r. b. podpisano międzynarodową konwencyę, ubezpieczającą prawo literackiej własności. Dzwoniło na ten akt Stowarzyszenie od samego początku, to też jeden z jego prezesów, p. Ulbach, zwołując członków rodzajem okólnika na obrady, pisał, że ów wiec genewski w dniu 18 września budzi szczególny interes. W istocie, czytać można było dalej, wszystkie mocarstwa, przedstawione na konferencyi w Bernie, wysłały swych delegatów dla podpisania międzynarodowej umowy, z którą rząd helwecki wystąpił na nasze żądanie. „Tryumf ten, który jednoczy nasze dzieło z dziełem dyplomacyi całego świata, daje historyczne znaczenie kongresowi naszemu w Szwajcaryi.“ Zjazd, jak widzimy, zapowiadał się szumnie.

W istocie, z pobudki owego Stowarzyszenia rząd federalny jeszcze w r. 1883 zaprosił różne państwa do wzięcia udziału w wypracowaniu wspólnego prawodawstwa dla własności literackiej. Wezwanie to nie pozostało bez odgłosu i w dniu 9 września dziesięć państw, uczestniczących w konferencyi berneńskiej, podpisało odnośną umowę. Treść jej trzymaną jest dotąd w tajemnicy, gdyż ona zatwierdzona być musi naprzód przez odnośne rządy, następnie zaś dopiero za pośrednictwem izb i ciał prawodawczych będzie mogła przybrać charakter obowiązującego prawa. Przyznać jednak należy, że Stowarzyszenie zrobiło znaczny krok dla dopięcia swego celu. Nawiasowo dodam, że rząd rosyjski nie wysłał swego reprezentanta na konferencyę berneńską, układ więc na teraz Królestwa i Cesarstwa nie dotyczy. Interesowani żywią nadzieję, że rząd helwecki, który już w niejednem prawodawstwie międzynarodowem przewodniczył, a świeżo pomyślnie doprowadził do skutku układ, dotyczący transportów na drogach żelaznych, i to przedsięwzięcie pomyślnie zakończy.

Pierwsze posiedzenie kongresu odbyło się pod przewodnictwem wiceprezesa Rady federalnej, p. Numy Droza. W obszernem przemówieniu wyraził on nadzieję rychłego uregulowania prawa własności literackiej, wypowiadając przytem żal, że ludy słowiańskie trzymają się dotąd zdala od owych prawodawczych usiłowań **).

Dalsze posiedzenia odbywały się pod przewodnictwem Ulbacha. Obrady, przeplatane zabawami i wycieczkami, trwały tydzień cały. Z pojedynczych wniosków zaznaczymy projekt popierania katedry literatury porównawczej, podniesiony przez T. T. Jeża. Na posiedzenie wstępne przybył także J. I. Kraszewski, przebywający wówczas chwilowo w Genewie. Wprowa-

*) Porówn. artykół Jeża w dzisiejszym numerze. *Red.*

**) I zapewne w dobrem rozumieniu swej korzyści nieprędko na lep się złapią. *Red.*

dzony do sali przez delegata norwegskiego ministerstwa oświaty p. Baetzmanna, przywitany został żywymi oklaskami.

Stowarzyszenia międzynarodowego literacko-artystycznego i jego kongresów nie należy mierzyć skalą zbyt wysokich wymagań. Chodziło tu najmniej o jakieś braterstwo umysłów i talentów, przedzielonych granicami państwowemi; nie zajmowano się także planami i projektami doniosłości ogólnej. Szło przedewszystkiem o zawarowanie praw własności literackiej i artystycznej. Inicyatywa związku wyszła od francuzów. Przyjęły w nim udział przeważnie talenty drugorzędne, które bardziej niż wielkie dbać musiały o zabezpieczenie swego literackiego dorobku.

Wzięto się do rzeczy zręcznie. Narobiono nieskończoną ilość prezesów, wciągnięto do stowarzyszenia, nominalnie przynajmniej, osobistości wpływowe i znane imiona. Nieznane firmy znalazły dobrą sposobność do rozgłoszenia szeroko swych nazwisk. Proszę tylko przejrzeć listę członków komitetu honorowego, podzieloną według krajów. Między anglikami znajdujemy księcia Walii, Gladstona, Maxa Müllera, Tennysona; między francuzami: prezydenta Grevego, Ferrego, Lessepsa, Juliusza Simona, Ulbacha, Lerminę, Piotra Zaccone i adwokata Ponilleta itp. Z naszych do honorowego grona zaliczono: Lenartowicza, Kraszewskiego i Władysława Chodźkiewicza z Paryża. Kraszewski jest także jednym ze stałych prezesów stowarzyszenia obok hr. Beusta, Ulbacha i Chodźkiewicza. Władysław Mickiewicz jest jednym z wice-prezesów, generalnym zaś sekretarzem związku Juliusz Lermina. P. Wacław Szymanowski z Warszawy nie przybył.

Sprowadzone do właściwych rozmiarów literackie Stowarzyszenie międzynarodowe miało swą racyę bytu. Rzeczą prawodawców i umysłów było strzedz ogólnych interesów społecznych wobec natarczywości autorów, którzy starali się zmonopolizować myśli lub nawet formy artystyczne, niebędące wcale wyłączną ich własnością. Idee i estetyczne ich formy wyrabia ludzkość cała. Rozrostu tego opanowywać nie mogą autorowie plagiatu, lub choćby tylko skromnych opracowań. Po za tem jednak w wieku naszym, opartym na własności indywidualnej, istnieje w pewnych granicach niezaprzeczone prawo autora do jego wyrobu. Z pracy tej żyje literat i okradanym przez panów wydawców i braci po piórze być nie powinien.

Podnoszono u nas zarzut, że zbyt ubodzy jesteśmy, ażebyśmy opłacać mogli wyroby myśli zagranicznej, rozkwitającej w warunkach pomyślniejszych. Istnieje jednak i odwrotna strona medalu. Gdyby wydawcy nasi nie znajdowali gotowych i bezpłatnych powieści, lub nawet dzieł poważniejszych w literaturze zagranicznej, zwracaćby się musieli przedewszystkiem do autorów swojskich; lepiej wynagradzani, pracować by mogli sumienniej i wzbogacaliby piśmiennictwo krajowe utworami większej wartości. Literatura, zalewana dziś płodami piór obcych, mało częstokroć zrozumiałych dla naszej publiczności, zyskałaby niewątpliwie na oryginalności i łatwiej stałaby się przedmiotem popytu na rynkach zagranicznych. Pojmujemy zresztą, że wymagania te winny mieć swe granice. Monopol własnych, domorosłych wielelkości nie jest ideałem, do którego by nam wzdychać wypadało *).

E. Przew.

*) Sprawę w stosunku do naszego społeczeństwa rozbieraliśmy kikakrotnie i szczegółowo. *Red.*

BADANIA NAUKOWE.

SPOŁECZEŃSTWO A LITERATURA.

I.

Jakąkolwiek wyznaczymy rolę człowiekowi w rozwoju społecznym, jedno nie ulega zaprzeczeniu, mianowicie że i sama istota ludzka nosi na sobie znamię historyczności, że w swych wyjawach psychicznych związaną jest pętami miejsca i czasu. Człowiek — to nie jakaś odosobniona od czasu swego i miejsca abstrakcya, lecz jestestwo, tysiącznymi węzłami uczuć, pojęć i idej spojone dokoła z otoczeniem. Zasady moralne, systemy filozoficzne, poglądy na piękno, wreszcie sama jakość i natężenie uczuć—wszystko to przez dzieje ulega przemianie, stanowiąc każdorazowo zjawisko ściśle określone, zależne od ogółu warunków społecznych. Stąd też wypływa, że skoro chcielibyśmy zrozumieć nastroje psychiczne w historyi, przedewszystkiem winniśmy się zapoznać z całokształtem otoczenia, wśród którego się wywiązały. Oto klan staroczesny, będący grupą społeczną, nie na ustawach pisanych zbudowaną, lecz powstałą samorodnie, żywiołowo, obejmującą w sobie ludzi wspólnego pochodzenia i rządzącą się prawem zwyczajowem. W braku rozwiniętych stosunków rzeczowych, któreby skupiały członków w jedną całość społeczną i to bez względu na ich wzajemne uczucia i stany wewnętrzne, na plan pierwszy występuje tu właśnie takie spoidło subjektywne: uczucie wzajemnej solidarności i krwi oraz wykwitłe stąd poglądy i objawy wzruszeń. Każdy, od lat niemowlęcych, wzrasta w atmosferze uczuć takich, w niej się wychowuje, żyje i umiera; całe jestestwo jego przesiąka takiem życiem, takiem poczuciem obowiązków wzajemnej pomocy i zemsty. Każde wykroczenie przeciwko interesom ogółu pociąga za sobą wyrzucenie przestępcy z łona klanu. Jednostka też zaciera się najzupełniej, bo ginie tutaj tak samo, jak komórka każda z osobna w organizmie ludzkim; za swe czyny więc nie ona, lecz klan cały odpowiada, za zabójstwo, popełnione przez jednego ze swych na obcym, wszyscy inni pokutują, odpowiedzialność osobista względem obcych, to rzecz zgoła niepojęta. Tymczasem zupełnie inna panorama roztoczy się przed nami, skoro porzucimy gromadzkie pożycie klanu a przejdziemy tam, gdzie całą swą pełnią wyziera gospodarstwo prywatne, rządzące się zasadą: każdy niech dba tylko o siebie. Człowiek jest tu, zresztą tylko na pozór, atomem wolnym, odosobnionym, punkt ciężkości swych pragnień, celów i działań nosi w samym sobie. Gdy w społeczeństwie klanowem jednostka ginie w ogóle, tu przeciwnie — w jednostce rozpływa się ogół; kiedy dawniej pierś człowieka falowała w imię interesów ogółu, teraz zasklepiają się w niej cierpienia lub radości przeważnie osobiste. Osobnik, zależny w swych czynnościach tylko od swej woli, odpowiada jedynie sam za swe postępki; pokutuje przestępca, a nie rodzeństwo jego. Kiedy więc na tle życia klanowego wykluwa się choćby kategorya taka, jak kara dziedziczna (np. grzechu pierworodnego), natenczas indywidualizm znosi te pojęcia, a kazuistyka ludzka wobec grzechu pierworodnego, przybranego w szatę świętości, znajduje wyjście pod postacią śmierci na Golgocie i obrządku chrztu. Stąd też i religia klanów, chociażby znała już życie pozagrobowe, nie ma jednakże jeszcze wyobrażenia o karze lub nagrodzie zaziemskiej, bo pojęcia takie, wypływające z uznania odpowiedzialności osobistej człowieka, dopiero wtedy są możliwe, gdy indywidualizm zapanuje w życiu społecznem. Również i postacie takie, jak typy Byrona, Goethego i innych poetów epoki naszej, zajęte grzebaniem się w własnem swem wnętrzu i przejęte osobistemi cierpieniami i radościami, są rzeczą nieznaną w gromadzie klanu.

Nie będziemy się rozwodzili nad ogólną zależnością nastrojów psychicznych od warunków społecznych; zauważymy jedynie w odniesieniu do twórczości artystycznej, że i ta odzwierciedla w sobie odpowiedne stany społeczne. Kiedy studya gruntowniejsze wykazały całą bezzasadność tego postępowania, które powodów, czemu jakiś utwór artystyczny podoba się widzom, usiłowały doszukać się nie w ukształtowaniu ich wrażliwości, lecz w utworze samym, podobnież dla głębszego zrozumienia takich stanów duchowych winniśmy zapoznać się z całokształtem stosunków społecznych, wśród których one się przejawiają. Wogóle, jeżeli uobecnimy sobie to, że utwory literackie, czy to w formie wyrobionej, czy też jeszcze nieokrzesanej, w każdym razie wyrażają uczucia i myśli mężczyzny i kobiety o wzajemnym do siebie stosunku lub własnej bytności jednostkowej i społecznej, albo wreszcie o otoczeniu fizycznem i zwierzęcem; jeżeli następnie uwzględnimy, że same te osobniki, wchodzące w takie lub inne grupy społeczne, w swym charakterze są wyrobem miejsca i czasu, mikrokosmem, skupiającym w sobie swe otoczenie, żywe i martwe, zrozumiemy wtedy zależność ścisłą pomiędzy społeczeństwem a działalnością psychiczną człowieka w dziedzinie literackiej. Tak badając poezyę średniowieczną trubadurów, winniśmy nie zapominać, że pomiędzy baronami a przyrodą stanęło chłopstwo, że warstwy rycerskie stykały się z tą ostatnią jedynie w potrzebach wojennych i na polowaniu. Stąd też u trubadurów przyroda występuje jedynie jako przydatek do tych dwu zabaw. Taki stosunek między otoczeniem społecznem a charakterem twórczości literackiej zaznacza się w kierunku podwójnym; po pierwsze, pewne wyjawy literackie mogą rozwinąć się tylko przy obecności ściśle wiadomych warunków społecznych, powtóre wyjaśnienie samo sposobów, jak idea wcieloną zostaje w utwór, potrzebuje wzięcia pod uwagę tychże warunków.

Z tego, co się rzekło, wynika, że zrozumienie twórczych objawów tylko wtedy jest możliwe, skoro rozważymy samo społeczeństwo, wśród którego one zachodzą. Jest to punkt coraz dobitniej i świadomiej uwzględniany w nowszych pracach historyków lub krytyków literackich. Ale jak obok dzieł, traktujących o rozwoju pojęć etycznych w okresie pewnym, więc dzieł opisowo-historycznych, istnieć mogą traktaty, zajmujące się wogóle rodowodem pojęć etycznych i czynnikami, co w różnych epokach i miejscach wywierały wpływ na ich rozwój, tak samo po za dziełami Hettnerów, Taine'ów i innych o literaturze pewnego ludu lub czasu istnieć może, że tak się wyrazimy, socyologia literatury, poświęcona zbadaniu warunków, przy jakich rodzi się ta lub owa kategorya tworów literackich, wyjaśniająca ogólne tło wzrostu literatury w zawisłości od stosunków społecznych, wykazująca, dlaczego w poezyi raz na plan pierwszy występuje przyroda, to znów człowiek, i czemu to w takiej, to w owakiej postaci itd. Dziedzina to dotychczas jeszcze nietknięta, czyli raczej była taką. Jedną z prób pierwszych przyniósł nam dopiero rok obecny w dziele Macaulaya Posnetta, obecnie profesora w uniwersytecie aucklandzkim w N. Zelandyi: *Comparative Literature* (London, 1886). Autor przystępuje do swego przedmiotu z szerokiem wykształceniem socyologicznem, którego dowody złożył w swem dziele uprzedniem: *The Historical Method*; wzorami jego są Maurer, Maine i inni badacze tego histo-

filozoficznego kierunku, z pośród którego najbardziej znanem jest u nas imię Laveleye'a. Posnett należy przeto do arcynielicznej garstki uczonych, którzy zdołali otrząsnąć się z powijaków socyologii gabinetowej i dzieło jego stanowi uzupełnienie prac powyżej wymienionych uczonych. A jeśli teraz wspomnieć zechcemy, że literatura wyraża myśli i uczucia ludzi, że te wyjawy psychiczne zależą od warunków społecznych, pojmiemy całą ważność dla badacza literatury takiego przygotowania.

A teraz przedstawmy treść dzieła samego.

Przedewszystkiem, jakie utwory zaliczyć wypada do literatury? Zdania są rozdzielone, a każde z nich jest jedynie uświęceniem okoliczności, wśród których się zrodziło. Obecnie często określamy literaturę w ten sposób, że „ją stanowią wyrażone za pomocą *pisma* myśli i uczucia ludzi *inteligentnych*, i to ułożone sposobem *przyjemnym* dla *czytelnika*." Anglik Spenser tymczasem każe literaturze „wytwarzać w duszy *dżentelmenów* rycerskość i cnotę;" chińczyk wymaga od niej *pokarmu* moralnego a zwłaszcza pieczy około utrzymania ogniska rodzinnego itd. Są to wszystko, jak widzimy, określenia względne, odzwierciedlające w sobie warunki swego powstania. Chcąc więc uniknąć, o ile można, takiej zbyt ciasnej względności i wyrazić definicyą to, co w literaturze mimo zmian pozostaje stałem, Posnett stawia określenie następujące: „Literatura — to ogół dzieł, mniejsza o ich formę, będących tworem raczej wyobraźni, niżeli refleksyi, przeznaczonej u większości ludów więcej ku uciesze, niż ku nauce i korzystających snadniej z ogólnych poglądów wiedzy, niżeli ze skarbów umiejętności specyalnej." Charakter sam tych dzieł zmienia się zależnie od warunków społecznych, przy jednakowości których, mimo różne epoki i miejsca, pozostaje jednaki w zarysie ogólnym. Stosownie do najgłówniejszych całokształtów społecznych, Posnett wyróżnia literaturę *klanową, republik miejskich, ogólno-ludzką i narodową*.

(D. n.)

Lud. Krzyw.

LITERATURA I SZTUKA.

I TO... FILOZOFIA.

Wawrz. hr. Benzelstjörna Engeström. *Kilka słów o hygienie duszy*. Poznań, 1886, str. 180.

Żeby odczyty te, mącące głowy członków Towarzystwa przemysłowego w Poznaniu, nie przedostawały się za pomocą druku i nęcącego tytułu do dalszych kół czytelników, uważam za obowiązek dać poznać ich wartość. Jest to rodzaj kazania, albo moralno-religijnego traktatu, tu i owdzie przeplatanego kwiatami poezyi, na temat „nadnaturalnej wiary, miłości i nadziei bożej" i tym podobnych, słodko brzmiących słów, mających wyleczyć chorą duszę ludzkości z „bezwzględnego realizmu, który ducha i serce nam wyziębiając, w większe spychając poziomy, coraz groźniejszą zapowiada nam przyszłość..." Autor wychodzi z założenia, że „dusza nasza stworzona jest na obraz i podobieństwo boże," bo duchem jest nieśmiertelnym i posiada trzy władze odrębne: rozum, wolę i pamięć, a jednak istota jej jest niepodzielną, ma w sobie zarody i popędy do wszystkiego, co wzniosłe, piękne i szlachetne, jest jakby jasnym odblaskiem tej nieskończonej doskonałości Pana, którą tu na ziemi w przybliżeniu tylko pojąć umiemy, a dopiero w drugiem życiu zrozumiemy dokładnie..." „Pierwszą bezwzględną prawdą — według p. B. E. — stanowi wiara święta. Każda inna prawda, do jakiej przychodzimy badaniem, nauką, wiedzą, jest tylko względną, a często nawet omylną, dlatego więc „w dochodzeniu prawd naukowych przyświecać i prowadzić powinna absolutna prawda wiary."

Obok niej zajmuje drugie miejsce miłość. „Jest to ożywcza gwiazda nasza, nie ma bowiem cnoty, którejby w nas obudzić nie zdołała: próżniaka do pracy sprowadza, dumnemu rogów przyciera, bojaźliwych na bohaterów przerabia, samoluba i skąpca do poświęcenia prowadzi, obojętnemu rozgrzewa serce, kościołowi, ojczyznie i rodzinie prawdą i cnotą oczyszczonych powraca, otwiera niebo na ziemi" itd. itd. Czego ta romantyczna miłość nie może! „Najniebezpieczniejszym wrogiem człowieka i społeczeństwa jest wola niepohamowana (prawdami katechizmu). Negując wszystkiemu, ona to cały szereg sprosnych absurdów wywodzi, które dziś w czynie i słowie t. z. niby to postępowcy XIX w. pod sztandarem niby to nowoczesnej kultury nam wygłaszają. Przyczyną tego *zezwierzęcenia* i upadku tego śmiesznie wstecznego postępu jest skażona wola, w której wyprowadzić i uzasadnić możemy psychologię dzisiejszych pozytywistów i *zoologiczne* ich rzeczywiście znaczenie a stanowisko."

„Voltaire i Beaumarchais byli pierwsi, którzy *sprostytuowali* geniusz — i zamienili w industryę dnia dzisiejszego — my należymy do ostatnich." Arcypocieszny jest przegląd filozofii. „Epikurejczycy i t. z. cynicy byli wstrętną szkołą materyalistów, bo u nich używanie było całą dążnością i zasadą." „Zasadą filozofii *dzisiejszej* jest: spekulatywne poszukiwanie pierwiastków rzeczy, absolutum (!)." Szczyt filozofii, jedyną, prawdziwą filozofię, według p. B. E., stanowi scholastyka; ktoby temu nie wierzył, niech przeczyta „bardzo gruntowną i jasną rozprawę ks. Morawskiego." Na pytanie: „Co to jest szczęście, od kogo zależy i jak je osiągnąć w tem życiu możemy" — odpowiada autor po długiej tyradzie: „Nie nam szukać szczęścia i zdrowia umysłowego i duchowego w doktrynerstwie, ale w poznaniu idei chrześciańskiej, która zawiera w sobie cały świat wyższej mądrości i prawdy, prawdziwej wiary i cnoty skarbnicę. Ona prawdziwa krynica, uzdrawiająca duszę człowieka." „Opatrzność bardzo dobrze to urządziła, że zdrowie duszy *nie zależy bynajmniej* od darów, jakimi natura nas obsypuje, nie zależy od geniuszu, który często nawet w błąd i rozstrój prowadzi, nie zależy od dobrobytu lub zalet fizycznych..." „Mylimy się bardzo, sądząc, że życie nasze duchowe idzie w parze z żywotem naszym fizycznym. Życie fizyczne bowiem zmniejsza w nas siły swoje około 50 roku, życie umysłowe, uregulowane dobrze, mnoży siły żywotne i zachowuje je do ostatniej godziny (!)." „Fundamentem zasadniczym a niewzruszonym owej hygieny jest spokój sumienia; do tego absolutnego spokoju dojść może tylko ten, kto ma przekonania i zasady czysto-chrześciańskie." Tacy żyją najdłużej. „Anachoreci i większa część mnichów Wschodu, a za czasów naszych trapiści, dochodzą przeważnie wedle statystycznych wykazów podeszłego wieku, od 80 do 100 lat i to przy ustawicznej czerstwości i zdrowiu. Św. Antoni pustelnik żył 120 lat." Zabierajmy się chyba na puszcze i kierujmy się zawczasu na pustelników. P. E. wykazuje danemi statystycznemi, bardzo dwuznacznej natury, że także członkowie akademii nauk i sztuk (którzy, jak wiadomo, przeważnie błogosławiony wiodą żywot) dochodzą późnej starości. Ostateczny rezultat z tych cyfr tak brzmi: „Wszystkie te spostrzeżenia dowodzą nam i utrzymują nas w przekonaniu, że dusza utrzymuje ciało człowieka, a nie zewnętrzna skorupa, którą duch człowieka jest przyodziany (!)."

Wszystkie przepisy tej hygieny duszy, zebrane przy końcu książki, dają się w tych słowach autora skreślić: „Tylko przeświadczenie, żeśmy wiernie i otwarcie przy Chrystusowym pozostali sztandarze, nie zapierając się, ani wstydząc wiary, modlitwy i obowiązku chrześciańskiego — że się nie zmarnowało darów bożych wogóle, nie splamiło klejnotu rodowego imienia, tylko takie życie *użyteczne i czynne* (?), życie bez wyrzutów sumienia, dodaje duszy naszej ten, że tak powiem, przedsmak nieśmiertelności. Z tego wierzchołka życia wzrok nasz duchowy sięga daleko, przegląda przyszłość, bo chociaż dusza związana jeszcze materyą, przeczuwa świat inny, wyższy, do którego z upragnieniem się wyrywając, do rzeczywistej, pierwotnej ojczyzny swojej powraca."

Tere — fere!

Z.

KARTKI ESTETYCZNE.

Zalecenie służby swej czytelnikowi.

Nader ponętne zadanie powierzył autorowi tych kartek redaktor *Prawdy*. Zlecił on mu: przegląd kwiatów, jakie wyrastają na naszej niwie artystycznej i piśmienniczej. Do wiązanki tej ofiarować coś może każda ze sztuk pięknych. Znajdzie się więc tu miejsce na ocenę obrazu, posągu, poematu, powieści, dzieła architektonicznego itp.

Rozumie się, iż wiązanka ta nie może być bukietem z samych tylko doborowych okazów układanym. Autor będzie brał, co mu twórczość nasza bieżąca przyniesie, i jeśli nie najcelniejsze, to przynajmniej najwydatniejsze jej kwiaty w oświetleniu własnej myśli czytelnikom pokaże.

Niekiedy też—jak właśnie w pierwszym zaraz szkicu, który po tej przemowie nastąpi — rozszerzy on i uogólni swoje spostrzeżenia, obejmując niemi całą grupę faktów, całą grzędę artystycznego kwiecia.

Nareszcie, ceniąc nadewszystko swobodę myśli i wierząc w nieustanny jej rozwój, nie będzie on się trzymał niewolniczo żadnego szkolarskiego systemu.

I. Grzechy główne naszego malarstwa.

Kilkuset polaków zajmuje się w tej chwili zasmarowywaniem płótna farbami olejnemi.

W kraju panuje skutkiem tego *gaudium* wielkie, a entuzyaści, których nigdy u nas nie brakło, wykrzykują w zapale, że Polska jest dziś dla malarstwa tem samem, czem były Włochy w XV i XVI wieku.

Jestże to prawdą? Jestże prawdą, że ziemia nasza, która nigdy dotąd nie była krajem artystów, niwą urodzajną dla sztuki, nabrała niespodziewanie tak cudotwórczych własności?

Wystarcza zrobić choćby powierzchowny rachunek naszych plonów artystycznych i plony te odpowiednio oszacować, aby rozstać się z owem złudzeniem, które smakuje, ale nie tuczy.

Ściśle rzecz biorąc, posiadamy: jednego gieniusza malarskiego, kilka wielkich talentów, oraz tyleż lub trochę więcej talentów zwyczajnych.

Oto wszystko.

Nie jest to bynajmniej mało — przypomniawszy sobie zwłaszcza, że większym kapitałem artystycznym nie poszczyci się dziś żaden z krajów zachodniej Europy, nie mówiąc już o wyjałowionej Italii, która, jak drzewo zmęczone nadmiernem owocowaniem, odpoczywa w bezczynności.

Ale po za tym pierwszym szeregiem, stoją u nas całe hufce, których znaczenie jest zagadkowe, a przyszłość — niepokojąca.

Co zyska sztuka, a przez nią społeczeństwo, z wytworzenia miliona obrazów, obrazków i obrazeczków, które nie są niczem innem, jak tylko przerabianiem na przeróżny sposób motywu, stworzonego przez prawdziwych mistrzów, a przez podrabiaczy wykrzywianego i psutego?

Bo trzeba zaznaczyć, że nasz artyzm jest srodze arystokratycznym, i że prastare: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“ odżyło w całej rozciągłości wśród dzisiejszej rzeczypospolitej malarskiej. Następstwem tej równości jest to, że kto tylko umie naciągać płótno na ramę i „wypraktykował“ czas pewien przy mistrzu, ten już nigdy „lotu nie zniży“ i nie imie się żadnej innej pędzlowej roboty, prócz malowania tak zwanych „kompozycyj.“

Gdzieindziej owe zastępy powołanych, lecz nie wybranych pracują z pożytkiem w fabrykach porcelany, majolik, dywanów, gobelinów, obić papierowych, galanteryi artystycznej itp. lub też szkicują wzory dla stolarzów, tapicerów, dekoratorów itd., albo wreszcie, o ile obznajomieni są gruntownie z rysunkiem, są ilustratorami dzienników i książek; u nas, prócz ostatniej specyalności, nie trudnią się oni niczem zgoła takiem, co nazwę rzemiosła nosi, uważając to za profanacyę swego „świętego“ powołania...

Ufajmy, że czas i... konieczność zdobycia powszedniego chleba, (bo żołądek, jeśli bywa niekiedy złym doradcą, staje się też często dzielnym korektorem) wprowadzi i ten zbłąkany hufiec na drogę właściwą.

Tymczasem wystawy nasze artystyczne przepełniane są robotami, które nie rozwoju, ale raczej cofania się krajowego malarstwa zdają się dowodzić. Pojmujemy potrzebę zachęty, rozumiemy wartość pobłażania, gotowiśmy zgodzić się nawet na konieczność przystosowywania innej miary do swoich, niż do obcych... ale wszystko to powinno mieć jakąś granicę, choćby tylko przez przyzwoitość i zdrowy rozsądek nakreśloną!

Na nieszczęście, głos serca i... kieszeni, rozszerza nieustannie granicę tę w nieskończoność.

Dziwnie oddziaływa ten stan rzeczy na artystyczne sądy publiczności, która kształcić się przywykła na wzorach, nie zaś, jak teoretycy, z książki i dla której fakt zawieszenia obrazka na wystawie jest już poniekąd świadectwem jego doskonałości.

Jeżeli dziennikarstwo nasze zachwaszczone jest zielskiem buńczucznej reporteryi i wspinającego się na palce dyletantyzmu, to o wiele gorzej dzieje się pod tym względem w królestwie farb i pędzli. Miernoty, drące się do pierwszego szeregu, spotyka się tutaj na każdym kroku; opinie zaś publiczności i krytyki, najsprzeczniejsze i najniespodziewańsze, nie pozwalają na zaprowadzenie wśród nich jakiegokolwiek ładu i na wyznaczenie każdemu z tych zuchów miejsca, na jakie zasługuje.

Jest to już nie rzeczpospolita prawidłowa i karna, ale rozpasane gminowładztwo, nieznające żadnych powag i zaprzeczające wszelkiej hierarchii w sferze talentu, pracy i zasług.

Powiększa zamieszanie ta jeszcze okoliczność, iż malarzom naszym brak wszelkiego skupienia, że żyją oni w rozsypce, rozrzuceni po różnych miastach Europy i nasiąkający najrozmaitszemi teoryami artystycznemi.

Monachium — kędy polskiej kolonii nadaje ton główny mieszkający tam stale Brandt — płodzi przedewszystkiem to liczne i zanudzające nas już na śmierć zastępy: koniarzów, charciarzów i piwiarzów, które z monotonnością, przechodzącą w manię, nasyłają naszym wystawom jeden i ten sam motyw, malowany na coraz inne sposoby.

Monachium to jest głównym warsztatem owych bryczek na gościńcu, wypadków w podróży, wyjazdów na polowanie, lisowczyków wsiadających na konie i lisowczyków zsiadających z koni — owych wszystkich, słowem, malowanych komunałów, od których niczem odżegnać się nie możemy i które, z początku zajmując, a potem nudząc, dziś już o rozpacz przyprawić są w stanie.

Szczuplejsza drużyna naszych malarzów, przeważnie zosobna w pieniądz lub stosunki i posiadająca arystokratyczne aspiracye, bawi w Paryżu.

Paryżanie ci wyróżniają się od innych towarzyszów cechu odrębnym stylem i noszą na sobie pewien szczególny, z francuska mówiąc: *cachet*, który od pierwszego wejrzenia wyjawia ich nadsekwańskie pochodzenie.

Artyści z tego szeregu wojują przedewszystkiem — szykiem.

Trzeciem z głównych ognisk, skupiających w sobie polskie malarstwo, jest Rzym, kędy króluje Siemiradzki. „Wieczne miasto,“ już z charakteru swego historycznego i towarzyskiego, tłumić musi w piersiach artystów porywy świeckie i formuje z nich prawie wyłącznie: archeologów, oraz malarzów religijnych.

Co gorsza, atmosfera tego miasta wszczepia też nierzadko w ich dusze: mistycyzm i rozleniwienie. Kilka wyższych talentów, świetne nadzieje rokujących na wstępie, ugrzęzło w tamtejszym, zdradziecko rozstępującym się gruncie i zapewne wybrnąć już z niego nie potrafi.

Kraków, z Matejką jako wodzem, stanowi czwarte ognisko naszej sztuki malarskiej. Niewątpliwie, jest to jedyne miasto polskie z charakterem artystycznym. Oprócz szkoły mistrza, z której wyszedł cały poczet niefortunnych jego naśladowców, pracuje tam kilku artystów, przechowujących najdroższy klejnot w skarbcu twórczości: oryginalność.

Jeżeli doliczymy jeszcze Lwów, który jest jakby filią Krakowa, Wiedeń, gdzie kilku naszych stale przebywa, a kilkunastu czasowym poświęca się studyom, Petersburg, którego Akademia malarska liczy zawsze spore grono polskich pensyonarzów, i kilka innych jeszcze stolic, udzielających polskiemu malarstwu niebezinteresownej gościny — sztuka nasza przedstawia nam się jako konstelacya, której składowe gwiazdy rozrzucone są po całym europejskim nieboskłonie.

Kształcenie oka i ręki w akademiach zagranicznych nie może pozostać bez wpływu i na ducha artystów.

Wyjątkowe tylko geniusze mogą z takiej odległości widzieć jasno rodzinną ziemię i odtwarzać jej fizyognomię, obcymi pierwiastkami niezepsutą.

Na inteligencyach słabszych, których jest większość, długie studya monachijskie, rzymskie, paryskie itp. odciskają piętno trwałe, które nie ściera się nawet po powrocie artysty pod strzechę domową. Iluż to wskutek tego mamy malarzów, którzy patrząc na naturę naszego kraju oczyma nieswojemi, dziwacznie ją przetwarzają, dając jej już to włoski, już niemiecki lub inny charakter.

Artysta uformowany duchowo oparłby się zwycięzko temu wpływowi, do szkół jednak i pracowni zagranicznych wyjeżdżają prawie wyłącznie młodzieniaszkowie, wstępujący dopiero w życie i poddający się wiernie warunkom zewnętrznym, jak glina dłoni rzeźbiarza.

Moglibyśmy z łatwością zadokumentować powyższe twierdzenie całym szeregiem nazwisk; z zasady jednak w szkicach tych postanowiliśmy nazwisk unikać. Nie chodzi nam tu o osobistą szykanę pana X. lub pana Z., lecz o wskazanie tych stron naszego współczesnego malarstwa, które wydają nam się słabemi i potrzebującemi wzmocnienia.

Pozostawiając na stronie Matejkę, który jako geniusz, zdziczały może ale potężny, wymaga osobnego dla siebie miejsca, cała zresztą dziedzina dzisiejszej sztuki polskiej uderza niemile charakterem kosmopolitycznym. A nie wyzwala częstokroć z tego charakteru treść nawet sama, gdyż choć swojska, zmanierowaną bywa i zcudzoziemczoną.

Właściwie kosmopolityzm ów nie jest jakiemś nadzwyczaj wysokiem uogólnianiem form i idej, lecz poprostu różnoplemienną pstrocizną, przypominającą owe tłumne jarmarki, na których niemiec ociera się o greka, cygan mani krakowiaka, a węgier z turkiem szwargoczą, każdy po swojemu.

Twierdzą entuzyaści, że w sferze powszechnego malarstwa ukształtowała się już ostatecznie i od innych wyraźnie odkreśliła „szkoła polska...“ My jej nie widzimy. Szkoła taka musiałaby mieć koniecznie trwały podkład narodowy, a temu właśnie owa wszecheuropejska maskarada form i teoryj staje na zawadzie.

Oprócz tego najważniejszego grzechu, jaki cięży na polskiem malarstwie, a którego usunięcie w wielu razach nie od samej tylko woli artystów zawisło, malarstwo to winne jest jeszcze i innych grzechów, tamujących jego prawidłowy rozwój i krzywiących drogę, jaką mu iść należy.

Grzechy te są po części nabyte od obcych, a po części na własnym naszym gruncie wyrosłe — czy ten jednak, czy ów posiadają rodowód, pozbyć się ich musimy koniecznie, jeśli chcemy, aby „szkoła polska“ zyskała możność samodzielnego istnienia.

Zadaniem szkiców, które po niniejszym ogólnym poglądzie nastąpią, będzie właśnie taki szczegółowy rachunek sumienia, odmówiony głośno z naszymi malarzami.

Gdy który z nich poczuje się do wywoływanego z kolei grzechu, w cichości okazać może skruchę i przedsięwziąć poprawę — bez obawy, byśmy go tu palcem wskazywali...

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dziś a niedawno. — Zmieniona panorama. — Dobroczynny granat. — Pomniki wieku. — Tajemnice tramwajów. — Czemu nasz kapitał nimi wzgardził. — Lichwa jako konieczność jego warunków.—Odezwa *Zdrowia*. — Półsłówka dla pokąsanych. — Przyćmiewanie światełek. — Sprostowanie cudu częstochowskiego. — Widzenie walki trójkąta z kwadratem. — Geometrya ulegająca duchowi czasu.

Wszak niedawno jeszcze — bardzo niedawno w gazetach codziennych, nauce niepoświęconych, można było czytać na miejscach naczelnych takie nowiny: Darwin wydał nowe dzieło o roślinach mięsożernych, które zajmują uwagę ogólną; Edison wynalazł sposób przesyłania głosu po drucie zapomocą elektryczności; Pasteur dokonał szczęśliwie szczepień ochronnych karbunkułu na baranach — itd. A dziś: osoby, posiadające "czucie“ ze sferami rządowemi, zapewniają, że położenie jest groźnem; Grecya obstalowała armaty nowego systemu u Kruppa; budżet wojenny Niemiec ma być podwyższony o 30 milionów marek; tajemne próby artyleryi francuskiej z nowymi pociskami, przebijającymi blachę 12-calową wypadły pomyślnie; wyniki doświadczeń ze statkiem torpedowym przeszedł oczekiwania — stary pancernik został w oka mgnieniu zniszczony; armia austryacka ma otrzymać karabiny magazynowe, strzelające 25 razy na minutę — itp. To też gdy poczuję chęć doniesienia czytelnikom moim o jakiejś świeżej książce, obrazie, posągu, wynalazku, pracy na-

ukowej, ogarnia mnie wstyd i zadaję sobie pytanie: a kogo to dziś zajmuje? W dziennikach rozlegają się odgłosy wycia dzikich instynktów, hasła zagłady, komenda rozboju i szczęk broni, przygotowywanej dla „utrzymania pokoju;“ ogół wsłuchuje się w tę wrzawę i całkiem w niej tonie. Jak tu mu śpiewać poezye lub wykładać prawdy naukowe? Jak przekrzyczeć trąbę, oznajmiającą światu radosną nowinę: 28 marca pod Paryżem próbowano nowego granatu, który swą niszczącą siłą przewyższa wszystkie dotychczasowe pociski: waży 220 funtów, wyrzucony z moździerza ryje się w port, jak w masło, i burzy go doszczętnie; jeden wystarcza na zgładzenie kilkunastu domów; minister zażądał *125 milionów* fr. na wyrobienie tych strasznych grotów, których *wartość* usunie wszelkie skrupuły w przyznaniu tej sumy, zwłaszcza gdy wiadomo, że Niemcy posiadają już *175,000* sztuk gotowych (zburzenie 2½ miliona domów zapewnione). Co muzy, milczące, według przysłowia, śród szczęku oręża, mogą przeciwstawić temu cudowi świata? Czem myśl i uczucia człowieka zdołają przeciwważyć taki jeden granat? Pozostaje tylko wyrabiać szpilki bagnetowe, broszki w kształcie rewolwerów, kapelusze w postaci szyszaków, perfumy prochowe—ale niepodobna tłuc piersiami o nieprzepartą falę dążeń czasu. Dziś miejsce mięsożernych roślin zajęły mięsożerne armaty. Przy tych tworach najnowszej biologii wszystko karleje. Czy podobna wobec statku torpedowego, który rozsadza okręt, lub granatu, który niszczy twierdzę, mówić np. o obrazku p. Gierymskiego lub tramwajach warszawskich? Wygląda to tak, jak gdybyśmy wodzowi, wiodącemu wojsko do wielkiej bitwy, chcieli powinszować pięknych w jego ogrodzie narcyzów lub załatać mu but rozdarty.

Odważam się jednak na tę niestosowność. *Gazeta losowań*, która czasem z za kulis kapitału opowiada ciekawe jego sekrety, wyniosła na światło dzienne kilka nieznanych szczegółów z żywota warszawskich tramwajów. Według niej tedy, koszta budowy i wprowadzenia w ruch przedsiębiorstwa wyniosły około 11 milionów franków a dochód brutto daje rocznie 18%. Dzienny dosięga cyfry 2,200 rs., czyli przypuścić można, że odpowiada on 40,000 pasażerów. Innych liczb nie powtarzam — zapisuję jeszcze jedną: akcyonaryuszom wypłacono 6% dywidendy. Pomimo w składzie zarządu, oprócz p. Kiślańskiego, zasiadają sami technicy i kapitaliści belgijscy, więc *Gazeta* przymawia krajowym, że wypuścili z rąk bardzo korzystny interes. Przed laty kilku zapytałem jednego ze znaczniejszych kapitalistów warszawskich:

— Czemu nie zaprowadzicie u nas tramwajów i czekacie, aż wam je cudzoziemcy zabiorą? Pojmuję obawy w przedsięwzięciach nowych, niewypróbowanych; ależ przecie to już zostało praktycznie ocenionem we wszystkich większych miastach Europy i wszędzie przynosi zyski.

— Pięć lub sześć procent — odparł kapitalista. Rzecz dziwna — mówił dalej — że są polscy publicyści, którzy mają dokładne pojęcie o stosunkach ekonomicznych i pieniężnych za granicą, ale trzeba długo szukać takiego, który zna nasze. Taki procent, zapamiętaj pan raz na zawsze, nie nazywa się u nas wielkim zyskiem, dla którego warto byłoby ponosić trudy i ryzyko. W Niemczech, Anglii lub Francyi kapitał jest tani, dostaniesz go pan z banków po 2, 3, 4 od sta. Na naszym rynku jest on bardzo drogim, w najbezpieczniejszej pożyczce już tak wysoko oprocentowanym, że nadaje się tylko do przedsięwzięć bardzo korzystnych. Po co ja mam włazić w tramwaje, kiedy mnie tyleż da każdy papier publiczny, a więcej bank lub hipoteka — bez pracy, kłopotów i ryzyka? To interes dla zagranicy.

— Więc nasz kapitał — zauważyłem — zajmuje się tylko operacyami lichwiarskiemi?

— Niech tak będzie, jeśli panu ten wyraz się podoba. Skoro wszystkie odsetki po za skalą prawną nazwiemy lichwą, to rzeczywiście nasz kapitał ją uprawia. Wątpię wszakże, czy to miano jest słusznem, dopóki oznacza wyzysk haniebny w odróżnieniu od procentów sprawiedliwych, które dlatego tylko uważane są za sprawiedliwe, że niższe. Mojem zdaniem, granicę lichwy trzeba u nas posunąć znacznie wyżej, jeżeli ona nie ma być złudzeniem, bo ta granica zależy od warunków miejscowych i bywa rozmaitą. W Warszawie 6% jest prawnem, w Londynie — lichwą. Nie dzięki chciwości jednostkowej albo łupiestwu gromady kapitalistów, ale dzięki ogólnym warunkom ekonomicznym pieniądz nasz zdrożał, jako środek, a staniał jako wartość, dlatego musi on sięgać po wyższe zyski. Nie zapominaj pan, że 5% od 200 marek niemieckich, to znaczy blizko 8 od równych im 100 rs.

Nie sądzę, ażeby Krezusowie nasi, wyznający powyższą filozofię, zazdrościli Towarzystwu belgijskiemu 6% dywidendy. Taki zysk ich nie olśniewa, bo oni przyzwyczajeni są do innych, większych kąsków. 5, 6, 7, wreszcie 100 tysięcy rubli poświęciliby na takie przedsięwzięcie, ale 11 milionów franków! Wolne żarty!

Nie zawsze brak nam odwagi. *Zdrowie*, pismo, poświęcone hygienie publicznej i prywatnej, a czytane zapewne przez ogół, mówiąc o szczepieniach wścieklizny, z naciskiem zaznacza, że wielu pacyentów Pasteura w Rosyi umarło i z uznaniem przytacza dowcip jakiegoś niemca, który powiedział, że gdyby się spodziewał, iż będzie pokąsanym za 6 tygodni, poddałby się szczepieniu ochronnemu, ale gdyby był pokąsanym — nie. Jeżeli skąd, to z kolumn *Prawdy* nikt nie usłyszy zachęty do ślepej wiary i dogmatyzmu; nie przeczymy również, że odkrycie Pasteura może jeszcze napstręczać pewne wątpliwości, dopóki nie doświadczy się praktycznie. Pomimo to wszakże sądzimy, że *Zdrowie* jest bardzo... ryzykownem. Bo przypuśćmy, że ktoś, pokąsany przez psa lub wilka wściekłego, pójdzie za zdaniem owego niemca i sceptycyzmem organu lekarskiego, któremu się ono podobało, czy *Zdrowie* weźmie na siebie odpowiedzialność za skutki? Czy zapytane o radę, odpowie komuś szczerze: ponieważ już jesteś pokąsany, nie udawaj się do Pasteura, bo on ci nie pomoże? Organ, przeznaczony dla kół szerszych, nie może załatwiać sprawy półsłówkami i siać śród swych czytelników nieufności do ratunku, który na dziś jest jedynym. Jeżeli stróże hygieny nie wierzą w skuteczność metody Pasteura, niech nie szepczą przeciw niej kątem ust, lecz niech otwarcie i jasno przedstawią swoje dowody, mające siłę wstrzymania wędrówki do Paryża lub nawet na ulicę Wilczą do Bujwida. Dopóki zaś opierają się tylko na osobistych mniemaniach i faktach niezdolnych przeciwważyć wypadków szczęśliwych, niech nie odstraszają ludzi od środka, na którym zawisło ich ocalenie. Gdzie panuje zupełna ciemność, nie należy gasić lub zasłaniać najmniejszego światełka. Panie — mówił chory do pewnego znakomitego doktora — wiem, że na raka nie macie lekarstwa, ale słyszałem, że jakiś znachor szczęśliwie tę chorobę usuwa, przykładając raki.

— Sprobój pan — odrzekł doktór i doprawdy nie z ironią. Ludzi się biedak — szepnął do mnie, ale czy miałbym sumienie pozbawiać go nadziei ratunku, którego sam mu dać nie mogę? A Pasteur nie jest przecie znachorem i nie wysyła sobie z palca leku owczarskiego.

Pójdę dalej i powiem — *Przegląd katolicki* złośliwie się uśmiecha — że nie odradzałbym choremu nawet Częstochowy, zwłaszcza od czasu, gdy nauka objaśniła naturalnemi przyczynami możliwość tak zwanych „cudów.“ Możliwość ta nie znika, pomimo że ostatni cud częstochowski unieważniony został świadectwami prawowiernemi. Pisma, niepodejrzane o żadną styczność z wolnomularstwem, ogłosiły z przykrością, ale i odwagą list, którego autor, z bliska rzeczy świadomy, wykazuje, że nagle uzdrowiona cieszyła się taką samą władzą w nogach przed przybyciem do Częstochowy, jak i po powrocie, że w całej opowieści było tyle prawdy, ile... Znowu się boję *Przeglądu katolickiego*, który na mnie surowo patrzy i czeka tylko sposobności ucięcia mi głowy swoją niezmordowaną gilotyną. Otóż nie, kochany Kalchasie, nie zrobię ci tej biesiady. Ale co ty, duszo droga, zrobisz teraz z pełną kadzią pobożnych słów, złorzeczeń i zachwytów, których natoczyłeś sobie w kolumny z powodu owego cudu? Licho skusiło ludzi „przyzwoitych“ do grzesznego badania legendy, tak szybko i pięknie usnutej! Dotąd można było jej bronić i za bluźnierstwa skarżyć libertynów do trybunału niebieskiego, ale gdy głos protestu wyszedł z owczarni — tracę rozum, co pasterze z *Przeglądu* poczną. Chyba pójdą do Częstochowy, może tam modlitwą wybłagają sobie u nieba zdrowie dla swojej— głowy.

Zresztą zdrowie takie nie jest w dzisiejszych czasach ani obowiązkiem, ani często możliwością. Najzupełniej usprawiedliwiam tych, którym się przywidział cud częstochowski, bo sam ulegam przywidzeniom. Pewnego dnia, po przeczytaniu kilkunastu gazet, ujrzałem przed sobą trójkąt. Na wierzchołku jego sterczała ponura, krwawemi ślepiami błyskająca głowa, dwa boki zmieniły się na ręce z zaciśniętemi pięściami, a trzeci, dolny, tworzył stopy, pod któremi leżał przytłoczony kwadrat.

— Co robisz? — krzyknąłem.

— Miażdżę tego łotra — zawołał chrapliwym głosem.

— Co ci winien?

— Czy nie widzisz, że ma cztery boki i cztery kąty, podczas kiedy ja mam trzy.

I deptał go nielitościwie, bijąc pięściami.

Przypatrywałem się temu widokowi z zajęciem, bo w trójkącie rozpoznałem duch czasu, twarz Hartmana. Nie słyszałem wprawdzie, ażeby i w geometryi zapanowała polityka, ale ta walka figur wydała mi się zupełnie zgodną z dążeniami czasu. W walce mężczyzn z kobietami, białych z czarnymi, chrześcian z żydami, germanów ze słowianami, słowem w walce wszystkich z wszystkimi, czemużby trójkąty i kwadraty miały nie rozpocząć boju? Już chyba tylko one nie rzuciły się na siebie? Czy też wiedzą o nowym granacie, który „ryje się w forty, jak w masło?“

No, widzisz, czytelniku, myśl moja powróciła — do punktu wyjścia, do tego, ku czemu kierują się wszystkie myśli... Jestem synem czasu.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Gdzie zakwitło nasze braterstwo. — Co o niem słychać u nas w domu. — Jakim kosztem Radom się oświetla. — Objawy dodatnie.

Dwie nasze ciężkie, dwie palące kwestye rozwiązane zostały: chłopska i żydowska... na bruku londyńskim. Donosi o tem korespondent *Kraju*, podpisujący się pseudonimem *Latarnik*. Na posiedzeniu członków tamtejszego Stowarzyszenia polskiego, Jan Gruszka, wieśniak z pod Krakowa, zamieszkały nad Tamizą od lat 36 i trudniący się obecnie ślusarstwem, zalecał nowoprzybywającym polakom, z biedy szyjącym pantofle dla żydów, żeby pamię-

tali, że „dziś wszyscy równi: panowie, łyki i chłopi. Różnicy między nami nie robią Bismarki. Dawniej to się panowie kłócili między sobą, a chłopu czupryna trzeszczała. Ale teraz wszystkich nas jedna bieda dusi i panu też tak źle kieby chłopu, jakeśmy to widzieli, kiedy jaśnie wielmożną panią hrabinę Zamoyską, niby jaką tam niczego, do ciupy wsadzili!“ Po tym mówcy, którego perora doskonale wrażenie zrobiła między słuchaczami, zabrał głos Jakób P., żyd, rodem z Kalisza, zamieszkały poprzednio we Wrocławiu i stamtąd wyrugowany, jako poddany rosyjski. Opowiedział on, że widział obraz, na którym namalowani są: wielmożny pan, ksiądz i chłop; żyda niema! Czemu niema? Bo nie wszyscy żydzi są polskimi. Tak jest źle, bardzo źle. Niechby tylko ci żydzi do Londynu przyjechali, bez grosza, bez chleba i bez kapoty, a dostali jak on, od p. sekretarza Towarzystwa londyńskiego kapotę, „cetel“ na dwa obiady i pieniędzy bez procentu na założenie interesu, toby rzecz zrozumieli i dobrymi byli. Wszak i jego niemcy wygnali tak samo, jak panią hrabinę Zamoyską, albo jak pana chłopa Gruszkę.

Jeśli od tej londyńskiej sielanki z Bismarkiem w prologu i braterstwem w epilogu, przeniesiemy wzrok na bliższe okolice, to przedewszystkiem jaskrawym blaskiem olśni nas łuna pożarów nieconych przez tutejszych Gruszków po wsiach i miasteczkach. Co chwila nowy promień tej ognistej aureoli tryska ze zwitków pakuł naftą zlanych, ze słomy, ze świecy stearynowej itp. Czasopisma donoszą o tem regularnie, ledwie że nie dzień po dniu, z różnych stron kraju, czasem po kilkakroć z tej samej miejscowości, z zimną krwią, nawyknieniem zdobytą, jak innemi czasy o dożuaneryi ulicznej, albo o przejechaniach. Niekiedy tylko spotykamy napomnienia o sprawianie beczek pożarnych i narzędzi ratunkowych. Tymczasem najpierwsza troska o zalanie pożarów nienawiści wzajemnej, płonących w sercach i głowach, o zużytkowanie nadmiaru energii w odmienny sposób, niż na rabunki i pożogi — ta troska cichą jest, cichą tak, jak gdyby ledwie się budzić zaczęła i nie zdążyła jeszcze oczu przetrzeć, rozejrzeć się dokoła po ludziach, po sumieniach bliskich i najbliższych.

Z początkiem bieżącego roku *Przegląd katolicki* wypowiedział zdanie, że pracą nad moralnem podniesieniem naszego ludu zajmuje się niemal wyłącznie duchowieństwo. Jeśli twierdzenie to jest choć w części prawdziwe, jakże strasznie mało robi się u nas w tym kierunku!

Zwróciwszy się zaś w szczególności do stosunków z żydami, to rezultaty naszej uspołeczniającej pracy znajdziemy w artykule wstępnym *Izraelity* z d. 29 września b. r. „Nieustanne objawy odpychania, okazywane żydom i wszystkiemu, co do nich z rodu się zalicza, ryczałtem, bez odróżnienia tych, co na objawy takie zasługują, od tych, dla których są srogą krzywdą; nieubłagana nienawiść, okazywana zarówno ze strony osobników, mieniących się być chrześcianami, a niegodnych nazwy człowieka, jak ze sfer wysoko inteligentnych, od których bardziej ludzkich, bardziej pojednawczych, chociażby w celach czysto obywatelskich, należało się spodziewać usposobień i to ze sfer, które niedawno same do zgody nawoływały — wszystko to musiało zatruć goryczą serce żyda najbardziej nawet oddanego sprawie jedności, wszczyć w jego duszę jad zwątpienia i odrzucić go w dal od idei asymilacyi, w objęcia narzuconej mu, wmuszonej odrębności plemiennej...“

Najchętniej czynimy żydom zarzut lichwiarstwa. Owóż czy nie osobliwym lichwiarzem jest pan Mateusz, który od Szmula wymaga procentów od życzliwości okazanej gdzieś, kiedyś przez Wojciecha Abramkowi?

Bardzo to ładnie brzmi frazes o przygarnięciu żydów przez kraj, o dobrodziejstwach im ongi świadczonych itp. Stawiając atoli rzecz na gruncie praktycznym, powinienem zapytać sam siebie, których żydów i jakiemi dobrodziejstwy ja sam obdarzyłem i jak mi się ci obdarzeni odpłacili; wtedy dopiero będę miał niejakie podstawy do wyrokowania, że Moszek ma niski charakter lub na odwrót, że jest przystępny lepszym uczuciom. Wszelako w całym zalewie przykładów niegodziwości i niewdzięczności żydowskiej najmniej złowić można faktów ujętych w takie właśnie ramy. Zazwyczaj fakty przedstawiają się w następnym porządku: dostatek i niedołęztwo z jednej strony — bieda i przebiegłość z drugiej. Z zetknięcia się tych dwóch przeciwieństw wynika przesiąkanie majętności od posiadających do biedaków, bardzo podobne do tego, jakie zachodzi np., jeżeli suchą bibułę przyłożymy do wilgotnego języka. Język obeschnie, a bibuła stanie się mokrą. Dziedziczny majątek nieporadnego słowianina i dziedziczna bieda semity zamieniają wtedy właścicieli.

Nie dziw, że taki społeczny objaw budzi ubolewanie tem słuszniejsze, że niewielka część tylko owej pożądanej wilgoci przechodzi do żydów i pozostaje przynajmniej w obrębie geograficznych granic kraju. Część znacznie większa ulatnia się bez widocznych śladów. Ale, mimo cały żal, nie godzi się, panowie znachorzy, karmić chorych lekami, przepędzanymi przez alembik nienawiści lub własnego waszego, wielce maluczkiego interesu.

Nasza niezrównana bezradność wyziera z każdego załamu, z za każdego węgła ekonomicznych stosunków. Ani wątpić, że kiedyś doczeka się ona patologa-badacza, który dla jej lepszego rozpoznania zajmie się zgłębieniem historyi naszych fabryk, przedsiębierstw, licytacyj i antrepryz publicznych.

Ciekawym choć drobnym przyczynkiem do tych przyszłych dziejów są cyfry dotyczące oświetlenia Radomia, podane w jednym z ostatnich numerów miejscowej *Gazety*. Municypalność radomska co trzy lata wypuszcza oświetlenie miasta w dzierżawę. Otóż w latach 1880—1883 przedsiębiorcą oświetlenia był Tannenbaum, który miał pobrać 3,479 rs., a pobrał rs. 5,096 k. 87; w następnym roku Chwat podjął się oświetlać miasto za rs. 2,841 (czyli po rs. 947 rocznie), a weźmie rs. 6,075 k. 66; nareszcie teraz, po zreformowaniu i *obostrzeniu* warunków kontraktu oraz *powiększeniu liczby latarń*, przedsiębiorstwo wziął na siebie niejaki Bankier (nazwisko) za *rs. 1763* rocznie. *Gazeta radomska* oblicza, że przy ścisłem ze strony miasta dopilnowaniu warunków, nowy przedsiebiorca będzie musiał dołożyć coś do niego, bo je za nisko oszacował. Zysk czy strata p. Bankiera mniej nas rozczulają. Ale owe umowy, dające panom Chwatom i Tenenbaumom możność pobierania w dwójnasób więcej, niż przewidywano, są klasyczne. Chwalimy radomiaków, że się nakoniec spostrzegli i przedsięwzięli naprawę złego. Byle tylko przez ciąg lat trzech dotrwali i swego interesu dopilnować umieli i nie potrzebowali potem skarżyć się na — wsiąkanie wilgoci w suchą bibułę.

Wogóle pragnęlibyśmy usilnie zachęcić do większego zainteresowania się teoretycznego i praktycznego sprawami dostaw i przedsiębierstw z licytacyj. Materyał to bardzo bogaty i pełen niespodzianek. Wszakże są ludzie, ciągnący ładne dochody z tego tylko, że objawiają chęć przyjęcia udziału w licytacyach i że licytanci „seryo“ dają im odczepne, aby ich tylko usunąć od współzawodnictwa. Nazywa się to podobno: dać się wypchnąć za drzwi.

Dla odpoczynku po przykrych lub wstrętnych przedmiotach mile jest zapisać parę faktów dodatnich.

Takim jest opracowany przez p. Tadeusza Kowalskiego i przyjęty przez Towarzystwo popierania przemysłu i handlu projekt ustawy stowarzyszenie kasy emerytalnej dla oficyalistów wiejskich, będący przeróbką dawniejszej pracy tegoż samego pióra. W interesie oficyalistów pragnąćby należało lepszego powodzenia tej nowej pracy, niż dawniejszej, albo niżeli to, jakiego doznał projekt ustawy emerytalnej dla klas pracujących, ułożony i popierany przez tutejszych przemysłowców (pp. Hantkego, Temlera i in.) w r. 1879. Podówczas na przeszkodzie stało to, że właśnie układaną była normalna ustawa podobnych towarzystw.

Z nowej ustawy pragnęlibyśmy wykreślić artykuł, dający ogólnemu zebraniu prawo użycia funduszów emerytalnych na zakładanie fabryk lub przedsiębierstw. O ile radośnie wita ogół powstawanie takich zakładów kosztem prywatnym i na prywatne ryzyko, o tyle słuszne niedowierzanie budzićby mogła sama już nawet wolność użycia grosza emerytów na podobne cele. Wiadomo, jak dogodną maszyneryą mogą być zebrania ogólne tam nawet, gdzie każdy uczestnik jest lub zdaje się być zainteresowanym w powodzeniu towarzystwa. Zebranie ogólne projektowanego stowarzyszenia emerytalnego tej nawet posiadać nie będzie rękojmi, gdyż członkiem jego może zostać każdy ofiarujący jednorazowo 30 rs. i nabywający przez to tytuł „założyciela“; natomiast z członków rzeczywistych ci mogą być usunięci przez radę zarządzającą od udziału w zebraniu ogólnem, których wykształcenie zostanie przez tęż radę uznane za niedostateczne. W takich warunkach lepiej jest poprzestawać na mniejszym nawet procencie i wolniejszym obrocie kapitałów, byle miały zupełne bespieczeństwo prawne i faktyczne, aniżeli otwierać furtkę hazardom.

Z innej dziedziny zaznaczyć wypada ukazanie się dwojga nowych pracowników na polu etnografii krajowej. W *Kaliszaninie* p. Ig. Piątkowska zamieściła interesujący, choć bardzo niezupełny opis mało znanej uroczystości, obchodzonej przez lud sieradzki. P. Piątkowska nazywa tę uroczystość „topieniem wiedźmy.“ Właściwie zowie się ona chyba „paleniem wiedźmy,“ bo polega na tańcu około ogniska z miotłami, jako godłem wiedźmy czyli czarownicy i z gałązkami jemioły. Przy tej sposobności odbywać się mają muzyka, śpiewy, opowiadania starych baśni... Szkoda, że autorka nie przytoczyła daty uroczystości ani tekstu śpiewów i opowiadań. Możeby to się dało powetować...

Wystąpienie jej pobudziło p. Wiktora Czajewskiego do wydrukowania również w *Kaliszaninie* artykuliku, z którego dowiadujemy się, że p. Cz. zaczął pisać program zbierania szczegółów z życia ludu, pragnąc zachęcić do tego nasze mieszkanki wsi; tam też zgromadził wiele materyałów tyczących się okolic sieradzkich.

A więc — powodzenia!

K. Zbrucki.

NA WSCHODZIE.

Wpływy rosyjskie i uświadomianie ich. — Polski kąt widzenia. — Przełom, jego przyczyny i skutki. — Samowiedza narodowa. — Zwyrodnienie patryotyzmu.— Satyra Szczedryna.

Zaczynając stały przegląd wybitniejszych objawów życia i ważniejszych prądów myśli rosyjskiej, pragnę w kilku słowach określić, jakie pracy mojej nadaję znaczenie i w jaki sposób wykonywać ją.

zamierzam. Bez obłudnych zastrzeżeń, bez wymownych półsłówek, używanych zwykle u nas w tym przedmiocie, prosto i szczerze wyrażam mój pogląd, o ile wiem, jasno dotychczas nie wypowiedziany.

Nie ulega wątpliwości, że życie nasze we wszystkich jego rozgałęzieniach a zwłaszcza umysłowość nasza wchłania w siebie pierwiastki życia i myśli rosyjskiej, nieraz zaś płody kultury zachodniej przychodzą do nas nie wprost, ale w tej przeróbce. Konieczność takiego oddziaływania w warunkach istniejących nie potrzebuje chyba dowodów szczegółowych. Można fakt ten sądzić rozmaicie, ale nie liczyć się z nim nie wolno. Tymczasem większość inteligencyi naszej i prasy albo zaprzecza zupełnie istnienia tych wpływów, chociaż wydrążyły one już sobie dosyć głębokie łożysko, albo je przyznaje wprawdzie, lecz tylko w pewnym ograniczonym obrębie i najczęściej, że nie powiem—zawsze, w znaczeniu ujemnem. Trzeba jednak wyznać otwarcie, że np. literatura rosyjska niejednokrotnie dostarczyła nam wrażeń, których działanie było bardzo dodatnie. Gdybyśmy wszakże nawet wyparli się tego, niepodobna przeczyć, że pewne prądy z tej strony płyną i wsiąkają w umysłowość naszą i życie, przeobrażają się wreszcie stosownie do warunków otoczenia, które je przyjmuje i proces ten odbywa się w znacznych rozmiarach; ponieważ jednak umyślnie nie zwracamy nań uwagi, więcej może przez niechęć kapryśną, aniżeli przez lekceważenie jego doniosłości i następstw, odbywa się on dorywczo, bezwiednie. Nie możemy go powstrzymać, bo nie możemy zamknąć się we własnym domu i żyć jedynie jego zasobami. Wymagania rzeczywistości przerwą wszelkie sztuczne tamy, tembardziej, jeżeli w wyborze dróg i środków żadnej nie znajdują przeszkody. Nie dosyć jest więc uznać fakt istnienia wpływów rosyjskich na życie nasze umysłowe i społeczne, należy jeszcze wziąć pod uwagę warunki ich przenikania i przeobrażania się całkowitego i częściowego oraz proces ten uświadomić sobie należycie. Wtedy bowiem można prądy owe przyswoić sobie bez szkody, bądź to przetrawiając je i przystosowując do własnej natury, bądź też przeciwdziałając im. Patryotyzm nasz wspominał tylko z przekąsem „o powiewach ze Wschodu,“ które obałamuciły pewną część młodzieży, i nie chce wiedzieć, że w umysłach nowego pokolenia inteligencyi i uczącej się młodzieży „powiewy wschodnie“ (chociaż nietylko w tem szczególnem znaczeniu, jakie im nadają wyznawcy naszej „niewinności“ wyjątkowej) utorowały sobie szeroką drogę, po której swobodnie biegną, rozrywając wszelkie groble. Czy wpływ ten w sile swej tak potężny, a w skutkach tak doniosły, pozostać winien niezbadanym i nieuregulowanym, czy też poddanym być musi krytyce i uświadomionym? O to chyba tylko pytać trzeba, w jaki sposób uświadamianie to odbywać się powinno.

Czytałem niedawno zdanie, że literatura i prasa polska mogą być uwolnione od tego obowiązku. Autor uznawał konieczność dokładnego poznania życia rosyjskiego, ale sądził, że w dzisiejszych warunkach większość inteligencyi polskiej nie potrzebuje żadnego pośrednictwa, gdyż czerpać może wprost ze źródła. Nie mogę zgodzić się na to, bo krytyka rosyjska objawów społecznych i prądów umysłowych budzi tylko samowiedzę własnego narodu i nie stawi sobie nawet innego celu. Nam zaś chodzi o stosunek objawów tych i prądów do *naszego* życia i umysłowości; same przez się zajmują nas one mniej daleko, tembardziej w oświetleniu, do którego oczy nasze nie są przyzwyczajone. Poznanie życia rosyjskiego ważnem jest dla nas przedewszystkiem z polskiego punktu widzenia. Nie chciałbym być źle zrozumianym, dodam więc, że nie mam na myśli stawiania owych zjawisk w pewnem świetle sztucznem; przeciwnie, sądzę, że należy widzieć je jaknajwyraźniej i najdokładniej, o ile można przedmiotowo, ale pod naszym kątem patrzenia, gdyż inaczej właśnie nam przedstawiać się one będą fałszywie. Promienie umysłowości obcej, przenikając do naszej atmosfery duchowej, załamują się w niej w sposób odmienny, aniżeli w atmosferze, która główne ich ognisko otacza. Chcąc jednak ściśle kąt tego załamania określić, potrzeba, żeby pryzmat, przez który promienie przechodzą, był czysty, bez skazy i plam żadnych. Z naszego więc stanowiska, ale bez uprzedzeń i powziętych z góry mniemań, prawdziwie, o ile omylność ludzka na to pozwala, szczerze w granicach możliwości realnej, dokładnie, jak mi na to zasób wiadomości moich wystarczy, postaram się zadanie moje wypełnić.

Znajomość literatury rosyjskiej, nabyta w szkole, jest bardzo ograniczoną, daje nam bowiem tylko pojęcie o utworach uznanych za klasyczne i ostemplowanych cechą prawomyślności podagogicznej. Szkoła średnia posiada wymagania specyalne, po za granice których nauczyciel wychodzić nie może i nie powinien, w uniwersytecie zas piśmiennictwo współczesne nie bywa również nigdy przedmiotem wykładu. Uczeń, kończący gimnazyum, wyliczy najdokładniej nietylko nazwiska lepszych autorów z czasów Katarzyny II, ale i główniejsze ich dzieła, opowie treść komedyi Fon-Wizina lub wygłosi z pamięci jaką bajkę Chemnicera lub odę Dzierżawina, ale nie czytał ani jednego dzieła Szczedryna, Niekrasowa zna jedynie z urywków, zamieszczonych w „Chrestomatyi,“ a o takich wybitnych pisarzach, jak np. Rieszetnikow, Hleb Uspienskij itd. nie słyszał wcale. W uniwersytecie także nie dowie się o tem, chyba że z własnej chęci zacznie czytać i wybierać dzieła i autorów. Ale i w takim razie czyni to zwykle dorywczo, bez żadnego planu, bez odpowiedniego przygotowania, nie zdając, nie mogąc nawet zdać sobie sprawy z tego, co poznał. Bieżące piśmiennictwo rosyjskie tak szybko rozwija się i przeobraża, że trudno bardzo śledzić wszystkie znamienne jego objawy. Nawet ten, kto przed 6—7 laty zbadał dosyć dokładnie główniejsze prądy umysłowości rosyjskiej, o ile wyrazem ich była literatura i prasa, przyjrzawszy się dzisiaj uważnie nowym, stanie zdumiony, nie znajdując dawnych znajomych lub nie poznając ich w przemianie...

Tę samą zmianę przedstawia charakter życia społecznego, nietylko w objawach jego widocznych, od warunków polityki wewnętrznej zależnych, ale także w dążeniach i celach, w ideałach i zamiarach. Życie umysłowe narodu rosyjskiego, czyli raczej warstwy jego inteligentnej, ulega przełomowi, któremu towarzyszą niemniej ważne przekształcenia się stosunków politycznych, społecznych i ekonomicznych. Czy jest to przełom wewnętrzny, który przerabia życie, czy przeciwnie, czysto zewnętrzne przyczyny wywołują odpowiedni natrój moralny? — pod tym względem istnieją rozmaite zapatrywania, które jednak zgadzają się w tym punkcie, że za widoczny początek zwrotu uważają straszną katastrofę 13 marca, śmierć Cesarza Aleksandra II i wrażenia, jakie wypadek ten wywarł powszechnie. W dzienniku *Nowosti* redaktor tego pisma p. Notowicz (pod pseudonimem Markiz O'Kwicz) w obszernym artykule porusza to pytanie i skłania się do pierwszego rozwiązania. Artykuł zasługuje na obszerny rozbiór, tutaj jednak nie uczynimy tego, ażeby nie wyjść po za ramy ogólnego poglądu, wspominamy zaś o nim dlatego. że zaznacza on objaw wzmagania się samowiedzy narodowej, w czem — pomimo że samowiedza ta wyraża się nieraz w formach niesympatycznych — autor widzi prąd dodatni. Rzeczywiście wzrost uczuć patryotycznych wśród inteligencyi rosyjskiej jest najbardziej może znamienną cechą doby dzisiejszej, cechą jednak, niedającą się na pierwszy rzut oka odróżnić, ponieważ kryje się ona często w takich objawach, którym przyzwyczailiśmy się nadawać inne znaczenie. Patryotyzm ten nie znajduje dotychczas sposobności zaznaczenia swej mocy inaczej, jak tylko w rozbudzeniu poczucia swej wyłączności, które łatwo bardzo przechodzi lub przynajmniej przejść może w nienawiść wszystkiego co obce, dlatego że obce, czego zapowiedź a nawet mniej lub więcej dobitny wyraz znajdujemy w pewnej części prasy rosyjskiej. Już apostoł „samobytności“ narodowej, zmarły niedawno Aksakow, kilkakrotnie głośno zaprotestował przeciw wnioskom, jakie z zasady tej wyciągali niepowołani jej wyznawcy, którzy hasło „powrotu do domu“ w ten pojmowali sposób, że człowiek szczery i uczciwy, chociaż nadzwyczaj jednostronny, jakim był patryarcha słowianofilów moskiewskich, musiał się wyrzec wszelkiej z zapędami ich łączności. Każda zasada, schodząc z wyżyny teoretycznej do zastosowania praktycznego, znajduje zawsze tłumy wyznawców, którzy pod jej godłem starają się przeprowadzić swe interesy osobiste, nasycić swe pożądania, zadowolnić swe instynkty poziome. Nie każda jednak daje równą możność swobodnego rozwoju tych namiętności nieszlachetnych lub żądz bezcelnych. Nawet wzniosła zasada wzajemności słowiańskiej, jak wykazuje właśnie jeden z młodszych słowianofilów, p. Mikołaj Aksakow, przerodziła się zupełnie i przybrała kształty, w którychby nie poznali jej pierwsi głosiciele braterstwa plemiennego, a przerodziła się dlatego, że do szeregu jej wyznawców zapisali się ludzie, którym chodziło i chodzi tylko o wyzyskanie popularnego godła. Patryotyzm „samobytny“ bardziej jeszcze nadaje się do takiego frymarku. Zasada ta wszakże, nawet w tej formule jednostronnej, jaką jej nadał Aksakow, ośmieszona niejednokrotnie i przez naszą prasę, w wielu wypadkach niepozbawioną jest słuszności i godną zaiste baczniejszej uwagi. Rozbrat między dążeniami inteligencyi rosyjskiej i ludu, jakkolwiek przesadzony znacznie i niewłaściwie określony, niemniej jest faktem niezaprzeczonym. Bezpodstawność zaś liberalizmu rosyjskiego dziś już chyba uważać można za stwierdzoną dowodnie.

Niepodobna nawet w ogólnych rysach zaznaczyć, jakie następstwa w przyszłości może przynieść ten przełom; w życiu społeczeństwa rosyjskiego przedstawia się on nam tak chaotycznie, że nawet obrazu tych starć i zapasów dokładniej nakreślić nie możemy. Co najwyżej grupować tylko jesteśmy w stanie pojedyncze jego objawy, często zaś nawet nie potrafimy doszukać się związku pojedynczych faktów. Ta niemożliwość przewidzenia, co się z pogmatwanego wątka wysnuje, sprawia to, że przejawy bieżące takiego stanu rzeczy nabierają nieraz wagi, której ciężar przyszłość o wiele może zmniejszy. Nie potrzeba więc dodawać chyba, że wzmożenie pesymizmu, przechodzącego łatwo w obojętność beznadziejną, stanowi drugą, również znamienną cechę nastroju chwili, cechę właściwą tym, którzy albo ideałów dawnych nie zapomnieli, a nowych bogów stworzyć sobie nie umieją, czy nie chcą, albo niemoc swoją poznali nietylko w próbie życia, ale i w rachunku swego sumienia. Jednego z tych ostatnich przedstawia właśnie Szczedryn w najnowszej swej satyrze: *Wypadek jaki się zdarzył Kramolnikowowi.* Oto niektóre wyjątki.

„Pewnego poranku literat poszechoński (w tem znaczeniu, jak u nas np. pacanowski) Kramolnikow obudziwszy się, wyraźnie poczuł, że *go nie ma.* Wczorajszy *byt* zamienił się dzisiaj na *niebyt.* On żył, nawet myślał, ale zarazem czuł, że zamkną-

ły się przed nim jakieś drzwi. Rzucił okiem na leżący na stole artykuł i nagle przez całą jego istotę przeszedł jakby prąd elektryczny:

— Niepotrzeba, niepotrzeba, niepotrzeba!

Zrozumiał, że wszystko pozostało w dawnym stanie, tylko dusza jego jest zapieczętowana. Od dnia dzisiejszego spełniać może rozmaite czyny, właściwe duszy zapisanej do ksiąg ludności, może nawet myśleć, ale to wszystko nie zda się na nic. Stracił rzecz główną, to, co stanowiło podstawę i treść jego istnienia, stracił tę siłę promienistą, która dawała mu możność ogniem swego serca zapalać serca innych. A z ulicy tymczasem dochodziło głupio-bezczelne szeptanie: złapali, wypytali, dowiedli. Kramolnikow gorąco kochał swoją ojczyznę, ale znał jej niestałość, wiedział również, jak niepewne są losy ludzkości w Poszechoniu. Chłop mówi: od torby dziadowskiej i od więzienia nie odżegnasz się krzyżem; mieszczanin mówi: zyski nasze widłami na wodzie zapisano; bojaryn mówi: wczoraj rosły mi uszy wyżej głowy a dzisiaj znaleźć ich nie mogę. Nie ma związku między dniem wczorajszym i dzisiejszym...

Kramolnikow jednak wierzył w cuda i oczekiwał ich. Czasami mrok rozpraszał się i w ciągu tych krótkich zmian, poszechończy czuli się lepiej.

Wszystkie siły swego umysłu i serca Kramolnikow niósł w ofierze dlatego, aby w duszach swych bliźnich wznowić wyobrażenie światła i prawdy, podtrzymywać w ich sercach wiarę, że światło przyjdzie i ciemności nie obejmą go. Na tem właściwie polegało zadanie jego działalności.

Na pochwałę Kramolnikowa powiedzieć należy, że kiedy zdarzył się z nim wiadomy wypadek, nie zapytał: za co? Rozumiał, że tak powinno być, że to jest normalne, tylko normalność ta wydała mu się zbyt okrutną i ostrą.

Przypomniawszy sobie „czytelnika,“ Kramolnikow wybiegł na ulicę, ale „ulica“ przybrała postać zwyczajną, poszechońską, ulica odwróciła się.

Tylko kamienie wołały w niebogłosy. Ludzie ruszali się w różnych kierunkach, oglądając się ostrożnie, jak gdyby szli kraść. Jedna ta struna była żywa. Wszystkie inne przeniknięte były zdziwieniem, nawet osłupieniem.

Liberały, niedawni przyjaciele Kramolnikowa, wprawdzie *huczeli*; ale niestety, na twarzach ich nie znalazł nawet cienia współczucia, przeciwnie spoczywał na nich już cień odstępstwa.

Przygnębiony, prawie wystraszony, Kramolnikow wraca do domu, ale tu towarzyszy mu drugi „czytelnik“ — jego sumienie, które tak mówi:

„Dlaczego nie szedłeś prostą drogą i nie poświęcałeś się. Z pod pióra twego płynął protest, ale ty nadawałeś mu taką formę, która czyniła go nieżywo-urodzonym. Wszystko, przeciw czemu protestowałeś, wszystko pozostało w tej samej postaci, jaką miało przed twym protestem!

Twoja praca była bezpłodną. Była to praca adwokata, którego język zaplątał się w sieci kłamstw. Ty protestowałeś, ale nie wskazywałeś, co trzeba czynić, a gdy ludzie szli w głąb' i ginęli, ty posyłałeś wślad za nimi swe współczucie.“

Nie powtarzamy całej tyrady, w której Kramolnikow wypowiada sobie gorzkie słowa prawdy, słowa te jednak mogły być surowsze jeszcze, a ocena działalności bardziej bezstronną i ściślejszą. Nie o to mi jednak chodzi, ale o zaznaczenie tej melancholii ponurej, której znakomity satyryk dał taki realny, wstrząsający do głębi duszy obraz.

J. L. Popławski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Przywilej. Jak wiadomo, dzierżawienie propinacyj i utrzymywanie po wsiach karczem jest żydom wzbronione. Jedyny wyjątek za jakieś zasługi uczyniono dla niejakiego Cohna, który korzystając z tego przywileju, wydzierżawił w Królestwie kilkaset karczem. Była to wszakże symulacya, właściwie bowiem propinacye dzierżawili współwyznawcy Cohna, którzy płacili mu za użyczenie nazwiska znaczne sumy. Obecnie pozwolono wprawdzie Cohnowi dzierżawić nadal karczmy, ale wyszynkiem wódki w nich zajmować się mogą tylko chrześcianie.

Minister sprawiedliwości p. Manassein wkrótce rozpocznie rewizyę instytucyj sądowych w Królestwie.

Rozporządzenie. Generał - gubernator warszawski rozkazał zamknąć kościół katolicki w Terespolu „dla położenia tamy szkodliwemu wpływowi tego kościoła na okoliczną ludność prawosławną.“ Oprócz tego przedsięwzięte zostały środki w celu niedopuszczenia, aby upierający się unici zaspakajali swe potrzeby duchowne w kościele katolickim w Brześciu litewskiem.

Ministeryum skarbu wprowadzić zamierza plombowanie wszystkich towarów krajowych, w celu utrudnienia kontrabandy.

Dochody państwa Rosyjskiego w pierwszych sześciu miesiącach r. b. w porównaniu z tym samym okresem czasu r. z. zmniejszyły się o 16,742,889 rs. głównie w dziale podatków gruntowych, akcyzy i ceł. Wydatki w ubiegłem półroczu wzrosły tymczasem w porównaniu z rokiem zeszłym o 23,341,290. Deficyt dotychczasowy wynosi więc przeszło 40 milionów rubli.

Wystawa nasion otwarta została 8 b. m., przyjmuje w niej udział około 150 osób.

Reforma służby leśnej w Królestwie nastąpi niewątpliwie w roku przyszłym. Posady leśniczego i pomocnika zajmować będą tylko osoby, które otrzymały specyalne wykształcenie.

Rzadki jubileusz 40-letniej pracy zecerskiej obchodził w Łodzi p. Teodor Jarmużyński. W swoim czasie on jeden w Warszawie umiał odczytywać rękopismy Juliana Bartoszewicza. Dzisiaj wzrok ma osłabiony, pomimo to jednak, jak zaręcza *Dziennik łódzki*, w stuwierszowej szpalcie korektor znajduje najwyżej literę przewróconą, lub brak przecinka.

Akademia Umiejętności w Krakowie kosztowne swe wydawnictwa po upływie lat kilku sprzedaje na makulaturę, ale nie chce wysyłać ich ani redakcyom pism polskich, ani nawet instytucyom polskim, jak np. Towarzystwu przyjaciół nauk w Poznaniu. Natomiast Biblioteka królewska w Berlinie otrzymuje te wydawnictwa, dostają je również kolegia jezuickie.

Medal złoty i stypendyum otrzymał w Akademii sztuk pięknych w Wiedniu p. Lewandowski z Ukrainy za płaskorzeźbę: „Thetis, prosząca Jowisza o łaskę.“

Dzieło E. Gneista: *Parlament angielski w tysiącoletnim rozwoju od IX do XIX w.* p. A. J. Cohn tłomaczy na język polski z upoważnienia autora.

Zjazd techników polskich we Lwowie zgromadził 150 uczestników, w tej liczbie 11 z Poznańskiego i tylko 10 z Królestwa.

Pożary. W ciągu 6 lat ostatnich w obrębie Królestwn było 23,789 pożarów.

Sądy. Obywatel ziemski z suwalskiego Floryanowicz, za zabójstwo żony, włościanki, z którą małżeństwo zawarł tajemnie i przyjaciel jego Zakrzewski, który również do zbrodni należał, skazani zostali przez Izbę sądową warszawską na zesłanie do robót ciężkich.

Muzeum narodowe w Krakowie otrzymało w darze portret Kościuszki, malowany przez Palmi'ego. Przedstawia on Kościuszkę w wieku młodym, kiedy liczył około 30 lat.

Dług Stanów Zjednoczonych w ciągu miesiąca września zmniejszył się o 10 milionów dolarów. skarb państwa posiada w gotówce 465 milionów dolarów, których nie może użyć na spłatę długu państwowego, gdyż ten jest terminowym, a wierzyciele nie chcą brać należności, od której pobierają dobry procent.

Universitas Leonina. Pod tą nazwą papież zakłada wielki uniwersytet katolicki w Watykanie, kierować tą szkołą będą jezuici.

Stan wzmocnionej ochrony przedłużono na rok we wszystkich tych miejscowościach, w których zaprowadzony został przed 4 laty.

Zmarli. Henryk Trelle, powieściopisarz szwedzki.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Сентября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.